Nr. 29. Warszawa, dnia 5 (17) Lipca 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 30.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

AUSTRYA DLA NIEMCÓW.

Namiętne rzucenie się Niemców na p. Badeniego po wydaniu przezeń rozporządzeń o języku czeskim w Czechach i na Morawach mogło być tylko skutkiem rozsrożenia się w nich bezwzględnego, na gruncie pangermańskim, po za obrębem Austryi i konstytucyi austryackiej stającego, niemiectwa. Niemców ciążących do wielkiej ojczyzny niemieckiej, do wskrzeszonych tradycyj jednej wspólnej rzeszy, do Bismarcka i Berlina, miała Austrya i przedtem. Czciciel żelaznego kanclerza, wróg Słowian i Madiarów, nieprzyjaciel Francuzów, matacz i warchoł, Schönerer, pod hasłem wierności dla konstytucyi jawnie szerzył bunt przeciwko konstytucyjnej organizacyi Przedlitawii i nawet całej monarchii, pod „konstytucyą“ rozumiał tylko taką, jaką wytworzył był Schmerling, a całe ukształtowanie się polityczne Habsburgii w r. 1867 odrzucał, jako nie pasujące mu do jego bismarkowskiego kramu. Ten obywatel austryacki ze środkiem ciężkości w Berlinie licznych miał zwolenników, ale powiedzieć nie można, aby miał jawnie, zuchwale trzymające się go stronnictwo. Byli już i są „Deutschnationale,“ ale i oni, dążąc tylko do przewagi i prymatu, nie przestawali ciążyć do Wiednia, do państwa austryackiego.

Stronnictwo niemieckie, absolutnie, w potrzebie nawet separatystyczne, stronnictwo zdrady państwa, wytwarza się dopiero teraz po rozporządzeniach o języku, jakiego wolno będzie używać Czechom w urzędach, gdy litera prawa ministeryalnego stanie się obowiązującą. Niepamiętny obstrukcyonizm niemiecki w Radzie państwa; buntowanie się gmin niemieckich przeciw rządowi i odmawianie mu nadal działalności pomocniczej w zakresie funkcyi jakby pogranicznych między gminą a państwem; wiece odbywane po za granicami Austryi z Niemcami nie-austryackimi i roztrząsanie na nich wewnętrznych spraw Przedlitawii; zbieranie się na narady mimo wyraźnych zakazów policyi; najnowsza wreszcie manifestacya w Chebie (Egerze) w dniu 10 i 11 b. m. — dostarczyły Niemcom austryackim żywiołów do zorganizowania się w stronnictwo prawdziwie już niemieckie. O potędze tej oślepiającej pychy, bez której niepodobna byłoby zrozumieć całej tej psychiki politycznej, świadczy okoliczność, że sama myśl, iż Czech będzie mógł od urzędu w Czechach otrzymać czeską odpowiedź, szarpie wnętrzności niemieckie, a nie szarpałaby, gdyby nie odczuwanie się w jedności, zamiast z Austryą — z wielką, w armaty i karabiny zbrojną, i użyć ich w danym razie mogącą ojczyzną niemiecką. Promienieje ona i przyciąga i poddanym austryackim szukać każe oparcia po za Austryą. W umysłach lęże się już zdrada. Nowe stronnictwo wrogie jest ustrojowi Austryi, który polegać może tylko na równowadze praw składających ją narodowości, na wyrobieniu w sobie wzajemnej tolerancyi i uznania i przejęciu się pewnym wspólnym patryotyzmem, złożonym z pożytecznego dla wszystkich rozsądku i przywiązania do istniejącego dla wszystkich porządku.

Manifestacye w Chebie nie były ulicznikowskimi wybrykami, któreby publicystyka na rachunek przypadku jedynie, przypadku bez znaczenia, zapisywać miała prawo. Nie, były one wypadkami symptomatycznymi, widzieć w nich potrzeba, słyszeć, jeśli nie hasło umówione, to zdradzenie się całej grupy *enfants terribles* z dążnościami do głębi nurtującemi tych przyszłych odstępców. Zaśpiewanie „Wacht am Rhein“ przed biustem, czy przed posągiem Franciszka Józefa — to znak czasu i zarazem przestroga dla Austryi. Zaciekłe bójki z policyą, upieranie się przy wiecu wyraźnie zakazanym, kiedy miasto całe obsadzone było przez wojsko i policyę — wskazują ogrom tej namiętności, która Niemców austryackich odrywa od państwa najpierw duchowo, zanim ich oderwie politycznie. Moment obecny jest niesłychanie dla Austryi ważnym. Jeżeli kiedy, to teraz nie wolno zapominać o tak niedawnej jeszcze przeszłości, świadectwami dyplomatycznemi w archiwach austryackich stwierdzonej: ilekroć Niemcy austryaccy piszczeli i wrzeszczeli na ucisk wewnętrzny, zawsze Bismarck za nimi się ujmował i do bukietu potrójnego przymierza wsuwał kwiatek żądania, aby im folgować, tj. nie wydzierać tego, co oni sami innym narodowościom wydzierali. Niemiec w Austryi jest już uciskany, gdy innych uciskać nie może. Austrya dla Niemców!

W ciężkiem położeniu znalazł się cesarz Franciszek Józef, p. Badeni stoi na rozżarzonych węglach. Ministra zwolnić może dymisya, o której już przebąkują — wymieniając następcę; ale panujący zostanie, a z nim zostanie i jego głęboka troska. Pomysł zjednania Czechów rozporządzeniami o języku może kiedyś w krytyce historycznej okaże się źle wybranym, nieszczęsnym; ale droga, na którą wszedł p. Badeni, na której i jego i samego cesarza utrzymać pragnął adres Izby deputowanych, jest jedyną, na jakiej znaleźć można uspokojenie dla wszystkich, kiełzno dla Niemców. Nawet królestwa czeskiego, czeskiego „Staatsrechtu,“ tradycyi Rudolfa II, korony i koronacyi w Pradze obawiać się teraz nie wolno rzetelnie austryackiemu rozumowi stanu. Na Fundamentalne Artykuły Hohenwartha teraz właśnie przyszedł czas. Tylko w federalizmie Niemcy utracą złudzenie swego jakoby prawowitego pierwszeństwa, któ-

rego poczucie p. Badeni przy obejmowaniu rządów niepotrzebnie w nich rozdmuchał. Przy liczebnym stosunku jakich 8 milionów do 16 w Przedlitawii, a 2,500,000 do 4,000,000 w Czechach, instytucye federalistyczne będą musiały z pomocą, rzecz prosta, czasu, poddać oporną mniejszość niemiecką pod większość. Kultura ogólna i specyalnie polityczna dość się już z pod wpływów niemieckich wyzwoliła, aby życie zbiorowe mogło już obyć się bez monopolu niemieckiego. Federacya — właśnie dlatego, że jej Niemcy nie chcą, federacya żelaznem przeprowadzona ramieniem, Niemcom czeskim dająca stanowisko średniowieczne Sasów siedmiogrodzkich — to jedyne radykalne lekarstwo na obecne i przyszłe niemoce Austryi. Tylko względy polityki zewnętrznej, obawa Niemców, trwoga przed cesarstwem niemieckiem — mogłyby rozumnie moment federacyjnego ukształtowania się Austryi opóźnić.

Tydzień polityczny. Cesarz Wilhelm popłynął d. 14 b. m. do Bergen; w tym roku nie posunie się już dalej ku biegunowi. Zaraz po powrocie z pobrzeży norwezkich pojedzie do Petersburga. Towarzyszyć mu mają i ks. Hohenlohe i p. Bülow. P. Posadowsky, obecnie minister spraw wewnętrznych rzeszy (sekretarz stanu), otrzymał następcę jako sekretarz skarbu. Dalsze zmiany osobiste jeszcze nie schodzą z ust wróżki politycznej berlińskiej. Ks. Hohenlohe ma oddać ster spraw zagranicznych w ręce p. Bülowa, któremu tym sposobem opinia daje nadspodziewanie szybki awans.

Sułtan popisał listy do cesarza niemieckiego, do austryackiego, do p. Faure'a, wystawiając wszystkie trudności i względną niemożność wydania Tessalii, a przynajmniej niezatrzymania doliny Tempe i całego pasa nad Peneiosem. Wilhelm II odpowiedział miękko, Franciszek Józef twardziej i podobno tak twardo, że odpowiedź ta nadała nowy zwrot dyplomacyi. Wystosowano d. 8 b. m. notę zbiorową do Porty; Porta jeszcze ma czas do namysłu. Niezależnie od kroku wspólnego hr. Murawiew ostrą notą przycisnął sułtana. Na Krecie w Kandyi po chrześcianach powstali teraz mahometanie i starli się z Anglikami. Admirałowie urządzili na nich wyprawę. Krew płynie, atrament w kałamarzach wysycha, a kwestya wschodnia jak była, tak jest otwartą raną europejskiego pokoju.

W Serbii król Aleksander zagaił d. 11 b. m. skupczynę nadzwyczajną dla otrzymania pieniędzy na nadzwyczajne też wydatki. Przyrzekł trzymać się konstytucyi i zapowiedział uprawidłowienie stosunków publicznych.

Anglia zabiera się do Transwalu, gdzie Volksraad potwierdził zjednoczenie się polityczne z Oranje. W Londynie komisya parlamentarna transwalska obraduje nad sprawozdaniem, które stwierdza przestępstwa Jamesona i Rhodesa, ale nie przeszkadza p. Chamberlainowi posyłać ich znowu na widownię, aby się mogli nowych przestępstw dopuszczać.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DZIEŃ ROBOCZY.

W dziedzinie życia społeczno-ekonomicznego zdarzył się fakt wielce doniosły, bo dotyczący setek tysięcy ludności robotniczej. Oto w tych dniach ogłoszono prawo, normujące długość dnia roboczego w fabrykach, kopalniach, warsztatach mechanicznych itd. Tym sposobem państwo rosyjskie zbliżyło się do urządzeń prawodawczych, przyjętych na Zachodzie. „Dzień roboczy“ stanowi już dziś tak bogaty materyał z działu ekonomii społecznej, że można byłoby obszerne rozprawy o tem pisać. Dodatnie rezultaty skrócenia godzin pracy nie mogą już podlegać żadnym wątpliwościom. Stwierdzono je w życiu i udowodniono w traktatach naukowych. Poprzestaniemy na kilku wymowniejszych przykładach: W młodej pod względem stosunków społecznych Australii dążność ku skróceniu dnia roboczego do 8-miu godzin ujawniła się już bardzo dawno, bo r. 1858. Przekonano się już wtedy, że robotnicy w ciągu ośmiu godzin wytwarzali tyleż, co i w ciągu dziesięciu. Od tego czasu do r. 1891 ośmiogodzinny dzień roboczy zastosowano w 60-ciu różnych gałęziach przemysłu australijskiego, tj. $^3/_4$ tamecznej ludności robotniczej korzysta z tej normy.

Na jej korzyść przemawiają również doświadczenia dokonane w Europie. W kopalniach angielskich skrócenie dnia roboczego rozszerzyło się znacznie w ciągu ostatnich lat 50. Pomimo to produkcya bezustannie wzrastała. (Tak np. r. 1854 wydobyto 64 miliony tonn, r. 1889—176 milionów). W jakiemś sprawozdaniu sztudgardzka fabryka gorsetów przyznała się, że dawniej robota trwała jedenaście i więcej godzin na dobę, ale już od pięciu lat skrócono dzień roboczy do 10 godzin, z przerwą półgodzinną przed południem i po południu. Otóż przedsiębiorcy znaleźli, że po zastosowaniu tej normy 10-cio, a raczej 9-cio-godzinnej pracy wytwórczość jest znacznie intensywniejsza, niż dawniej. W początkach r. 1892 gazety angielskie ogłosiły list p. Allana, właściciela fabryki maszyn „Scotia Engine Works“ w Sunderlandzie. Stwierdza on wzrost produkcyjności pracy swych robotników skutkiem wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia roboczego.

Również wymowne fakty podaje prof. Roscher: „Robotnicy rolni w Norfolku nigdy nie pracowali więcej, niż 11 godzin na dobę, z wyjątkiem okresu posiewów i żniw. Ale za to robotnik tameczny w ciągu pięciu godzin wykonywał tyleż, ile inni w ciągu ośmiu godzin. W Niemczech południowo-zachodnich dzień roboczy trwa o 2—4 godziny krócej, niż w północno-wschodnich, a pomimo to robotnicy krócej pracujący więcej wytwarzają. Produkcyjność pracy robotników francuskich jest mniejsza, niż angielskich dlatego, że pierwsi są obarczeni dłuższym dniem roboczym. Wiadomo jest również, że wielka produkcyjność pracy robotników amerykańskich jest wynikiem skróconego dnia roboczego. W przeciwstawieniu z tymi faktami stwierdzono inne w Saksonii: Oto główną przyczyną małej tam produkcyjności pracy robotników był nadzwyczaj długi dzień roboczy.

Weźmy teraz wybitne przykłady z Cesarstwa i Królestwa Polskiego. Ze stosun-

10)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

Ale Buddha, przebywający śród kwiatów, drzew, zwierząt czystych, nie zawsze umierał z rozstroju gastrycznego.

Dwunasty z wcielonych umarł śmiercią godną zazdrości i słodkie było jego przejście do Nirwany.

Na progu wieczności spotkał on cudną kobietę.

Miała na imię Ajdaraastre, co znaczy kwiatek południa.

Była bajaderką.

Słońce miało pogrążyć się w falach i posyłało z za oceanu swoje pożegnalne czerwone promienie Ceylonowi.

Bajaderka Ajdaraastre stała u progu swej chaty i ze smutkiem patrzała na drogę, której glina czerwona, oświetlona promieniami słońca zachodzącego, wyglądała jakby krwią polana.

Biedaczka umierała z głodu.

Kto wyciągnie rękę, ażeby podać jałmużnę bajaderce? Czyż śmierć głodowa nie jest karą za grzechy?

Ale oto w dali ukazał się pielgrzym. Piękny młodzieniec o twarzy tajemniczej, z oczyma błyszczącemi jak gwiazdy, w płaszczu złocistym, spadającym z ramienia lewego.

Zdawał się być bardzo zmęczonym, ledwo poruszał nogami. Naprzeciw niego wybiegła Ajdaraastre.

— Wejdź śmiało do izby, ładny cudzoziemcze, i odpocznij, a ja odtańczę ci te tańce, których nauczyła mię moja matka i umilę ci wypoczynek.

Ale młodzieniec zamiast odpowiedzi, wyciągnął rękę:

— Umieram z głodu!

Łzy jak rosa zabłysły na rzęsach Ajdaraastre. Były to łzy nie rozpaczy, lecz współczucia.

— Nie mam nic, piękny młodzieńcze. Ale niewolnicy mówią, żem piękna, a moja matka nauczyła mię piosnek i tańców. Weźmij to, co mam.

Buddha leżał na macie, a piękna Ajdaraastre, pobrzękując miedzianymi kastanietami, tańczyła przed nim taniec, który od tego czasu mają prawo tańczyć tylko bajaderki i który nazywa się świętym „tańcem przed Buddhą.“

I Buddha napawał się jej pięknością.

Tak tańczyła głodna Ajdaraastre przed umierającym z głodu Buddhą.

Wpadające do izby ostatnie promienie słońca, jak płomieniem stosu świętego, oblewały jej kibić.

A gdy, jak złote liście palmowe, roztoczyły się z za gór promienie słońca i błysnęły brylanty rosy, Ajdaraastre z płaczem i krzykiem wybiegła ze swej chaty.

Piękny nieznajomy leżał martwy.

— Uciekaj z naszych stron, idź od nas, kobieto nieszczęśliwa! — przeklinali ją bramini — oddech twój jest jadem; duszą twoją zawładnęła Irandeti, bogini piekła; w nocy zamieniłaś się w żmiję i ukąsiłaś śmiertelnie pięknego cudzoziemca.

Próżno Ajdaraastre rwała na sobie włosy i zaklinała się, że niewinna.

— Spalcie mię z nim żywą na stosie, to mój mąż wobec nieba i gwiazd, gdzie mieszkają nasi przodkowie. Ja go kocham nawet martwego.

Bramini z oburzeniem odrzucili dziwaczną myśl bajaderki, która byłaby spalona, jako towarzyszka wierna swemu mężowi.

Złożono stos z drzew palmowych, ozdobiony kwiatami i podpalono świętym ogniem niebieskim, przyniesionym na Ceylon ze świątyni delijskiej.

Stos rozpalił się, a języki ogniste jakby wzywały i pociągały ku sobie Ajdaraastre.

ków Cesarstwa dostarczyły licznych danych badania prof. Janżułła. Tak np. zarząd fabryki sukna braci Czetwerykowów przekonawszy się o ujemnych wynikach pracy nocnej, tudzież długiego dnia roboczego, zmniejszył pracę 24-godzinną do 18-to-godzinnej z dwiema zmianami, tj. skrócił dzień roboczy z 12 do 9 godzin. I oto wkrótce okazało się, że przy skróceniu czasu pracy o 25%, tkacze zwiększyli energię swych sił o 13%; zarobek otrzymano prawie ten sam, co i dawniej. Kary zaś za robotę niedokładną znacznie się zmniejszyły.

P. Rykowski, inspektor fabryczny okręgu piotrkowskiego, zebrał wymowne dane, które również stwierdzają to wszystko, cośmy wyżej wskazali. Z wprowadzeniem u nas w życie prawa pracy nieletnich, tj. od końca r. 1884, produkcyjność i jakość roboty tej kategoryi pracowników w fabrykach tkackich o tyle wzrosły, że przemysłowcy uznali za możliwe płacić obecnie o 30—50% drożej w stosunku do skali zarobków poprzednich, niektórzy zaś fabrykanci gub. Kaliskiej za 6½ godzin pracy nieletnich płacą obecnie tyle, co dawniej za 13. Gdy w mechanicznych tkackich fabrykach r. 1889 i 1890 skutkiem zastoju fabrykanci skrócili dzień roboczy o jedną godzinę, lub zmniejszyli płacę zarobkową o 5—10%, tkacze zarabiali tyleż co dawniej. Przekonano się również, iż w wielu fabrykach gub. Piotrkowskiej, które skróciły dzień roboczy z 13-tu na 12 godzin, produkcya wzrosła o 5%

Na podstawie tych i wielu innych danych inspektor, p. Rykowski, utrzymywał, że wszyscy fabrykanci w obrębie państwa mogliby łatwo obecny 13—14-godzinny dzień roboczy skrócić o 1—2 godziny i zwiększyć produkcyjność swoich fabryk, gdyby zwrócili większą uwagę na technikę i starali się podnieść ekonomiczne i moralne warunki bytu swych robotników.

Z korzyści tych jednak większość fabrykantów w Rosyi dotychczas nie zdawała sobie sprawy. Przeciwnie, są oni mocno przekonani, że możliwie najdłuższy dzień roboczy jest dla nich korzystnym. Innego przekonania byli przemysłowcy łódzcy; śledząc warunki przemysłu zachodnio-europejskiego, przyszli oni do przeświadczenia, że dobrym będzie dla nich interesem skrócenie dnia roboczego. Postanowili tedy starać się o sharmonizowanie swych interesów z ważną kwestyą społeczną: uregulowaniem warunków pracy warstw robotniczych. I oto r. 1892 zarząd oddziału łódzkiego Towarzystwa przemysłu i handlu opracował bardzo wyczerpujący i dobrze umotywowany memoryał i przesłał do głównego komitetu Towarzystwa w Petersburgu (w styczniu r. 1894) Tam wniosek przyjęto bardzo życzliwie i rozesłano wybitniejszym przemysłowcom rosyjskim. Najprzychylniej projekt ten powitali fabrykanci petersburscy, tudzież Towarzystwo rozwoju przemysłu przędzalno-tkackiego w Moskwie.

Memoryał łódzki zaznaczył, że zmniejszanie dnia roboczego powinno być stopniowe, ażeby nie wywołać zbyt wielkiej zmiany w warunkach bytu robotników i dać im możność przygotowania się do pracy intensywniejszej. Ponieważ dzień roboczy w większości fabryk trwa dziś 13, a w wielu, zwłaszcza drobnych fabrykach i zakładach rzemieślniczych, 15 lub 16 godzin, więc należałoby tymczasem we wszystkich zakładach przemysłowych, które nie korzystają z pracy nocnej, skrócić do 12-tu godzin, z przerwą przynajmniej jednogodzinną na obiad. Przytem czasu, przeznaczonego na śniadanie i podwieczorek, nie należy wykreślać z liczby godzin dnia roboczego, jeżeli praca maszyn nie ustaje.

Takie jednak ograniczenie czasu pracy nie byłoby dostateczne w fabrykach żelaza, wogóle wyrobów metalowych i wielu innych, tj. w tych wszystkich, gdzie praca jest ciężka i szkodliwa dla zdrowia.

Ostatecznie oddział łódzkiego Towarzystwa przemysłu i handlu umotywował swój wniosek w sposób następujący, jako projekt prawa dla całego państwa: 1) Praca nocna od 10 wieczorem do 4 rano powinna być wzbroniona we wszystkich zakładach przemysłowych, z wyjątkiem tych, które ze względu na charakter swej produkcyi muszą pracować bez przerwy. 2) Maksymalny dzień roboczy od 4 rano do 10 wieczorem należy skrócić dla każdej zmiany robotników: a) w kopalniach rud węgla kamiennego i wogóle w podziemiach, pozbawionych słońca, dzień roboczy skrócić do 10-ciu godzin; b) w fabrykach żelaza i wogóle wyrobów metalowych — do 11-tu godzin; c) we wszystkich innych do 12-tu, z przerwą jednogodzinną na obiad. 3) W tych zakładach przemysłowych, których właściciele życzą sobie prowadzić produkcyę dłużej, niż 12 godzin na dobę z dwiema zmianami robotników, dzień roboczy każdej zmiany nie powinien trwać dłużej, niż 9 godzin na dobę w czasie od 4 rano do 10 wieczorem.

Gdyby po upływie pięciu lat od chwili wprowadzenia w życie tych przepisów, okazały się one pożytecznymi dla robotników i nie przyniosły szkody rozwojowi przemysłu, pożądane byłoby skrócenie dnia roboczego jeszcze o jedną godzinę dla każdej kategoryi zakładów przemysłowych, oznaczonych w paragrafie 2-im pod literami *a*, *b* i *c*, na pracę zaś nocną należałoby pozwolić od g. 9 wieczór do 5 rano.

Po trzech latach od chwili złożenia tego wniosku obecnie ogłoszono prawo nowe, które nieco inaczej brzmi, niż memoryał łódzki: Czas pracy dla robotników, zajętych wyłącznie w porze dziennej, tj. między 5 rano a 9 wieczorem, nie może przewyższać 11½ godzin na dobę, w sobotę zaś i w wigilię świąt — 10-ciu godzin. W wigilię Bożego Narodzenia roboty powinny się kończyć najpóźniej w południe. Dla robotników, zajętych choćby tylko częściowo w porze nocnej, czas pracy nie

---

Wtem krzyk oburzenia i przerażenia rozległ się w tłumie.

Zdarzyła się niesłychana profanacya zwyczajów świętych.

Bajaderka rzuciła się na stos. Bramini usiłowali zgasić ogień, ale płomienie wzbiły się tak wysoko, jak się wzbijają zawsze nad stosem, na którym poddana jest spaleniu wierna wdowa.

Pierścienie płomieni objęły namiętnie kibić Ajdaraastry, a ze stosu rozległ się okrzyk radości i tryumfu.

I wszyscy ujrzeli śród dymu dwa ciała:

Młodzieniec, a w jego objęciach Ajdaraastre.

Oboje wznosili się ku Nirwanie.

Ona tuliła się do jego piersi; on kobieco piękny, z oczami błyszczącemi jak gwiazdy.

I upadli na twarz wszyscy bramini i lud. I zrozumieli, kto był ów cudzoziemiec.

Niema ani upadłych, ani występnych wobec Buddhy, któremu ludzie w ofiarze przynoszą kwiaty.

Wszystko odkupia miłość.

XXIV.

Tańce bajaderek.

Jak rozkwita lotos.

Zabrzęczały kastaniety miedziane.

Bajaderka, siedząca na środku komnaty nieruchoma, w pozie Buddhy, jakby się przebudziła.

Otworzyła swoje duże, czarne oczy i powoli objęła niemi izbę.

Wyglądała jakby dopiero przed chwilą zaczęło się w niej budzić życie.

Zrobiła ruch powolny w jedną stronę, w drugą i w takt muzyki poruszała głową tak, że zdawało się, iż twarz odwróci zupełnie w tył.

Było to i oryginalne i ładne.

Wyglądała jak jakaś lalka piękna, która wyszła z rąk artysty. Albo też — cacko, pełne wdzięku, które chciałoby się postawić na biurku i napis przykleić:

„Proszę rękami nie dotykać.“

Mała, szykowna kobieta z nieruchomą twarzą Kamei.

Jaskrawo czerwony płaszcz, ściśle przylegający dokoła jej kibici gibkiej, odsłania jedno ramię i część biustu, jak z bronzu...

Przez ciemną skórę twarzy przebija rumieniec, świecą duże czarne, wyraziste oczy. Na środku czoła, jak rana, piętno czerwone.

Na główce ładnej, z pięknym profilem, na włosach obfitych, zwiniętych, nałożona kokieteryjnie czapeczka ze złota.

Sznury białych pereł wiją się śród czarnych jak smoła włosów. Ciężka kiść ozdoby sznurów pereł spada na ramiona.

Masa kolczyków połyskuje, gra, przelewa się rubinami, szmaragdami, brylantami w nosie i uszach.

Gęste naszyjniki z monet złotych wydają przy każdym ruchu miękki, melodyjny dźwięk.

Tak wygląda ten czternastoletni kwiatek Ceylonu.

Melodya ciągle się przelewała. Bajaderka powoli podniosła ręce, jakby wychodziła z jakiegoś odrętwienia, jakby każdy ruch był dla niej nowym. Powoli, leniwie zaczęła powstawać, kołysząc się całą kibicią, jak kwiatek, poruszany wiatrem.

Spojrzałem na muzykantów.

Wpili się wzrokiem w tę ładną, jakby wyrastającą figurkę, chciwie łowili każdy jej ruch.

W ich oczach błyszczał ogień artysty.

I rzeczywiście postać ta zasługiwała na zaklęcie w bronzie, na uwiecznienie dłutem rzeźbiarza, pędzlem malarza; warta była uczczenia muzyką lub poezyą.

Melodya zakończyła się głośnym akordem i ucichła.

Nadeszła chwila tajemnicza: lotos zakwitał.

Bajaderka z gracyą upajającą podrygiwała całem ciałem.

może przewyższać 10 godzin na dobę. Roboty wogóle nie mogą być prowadzone w niedziele i święta uroczyste, za jakie uznano 14 dni w roku. Robotnicy wyznań niechrześciańskich, zamiast niedziel, winni świętować inne odpowiednie dni w tygodniu. Przytoczone powyższe normy czasu roboczego, po porozumieniu się ministeryów właściwych, mogą być skrócone w gałęziach produkcyi szczególnie szkodliwych dla zdrowia, albo przedłużone w razach wyjątkowej lub koniecznej potrzeby, jak np. nieprzerwalność produkcyi ze względów technicznych itd. Nowe prawo wejdzie stopniowo w wykonanie w ciągu r. b., a z d. 13 stycznia r. 1898 będzie już w całem państwie zastosowane.

Przepisy powyższe regulują tedy godziny pracy poniekąd według normy, a nawet sposobów, praktykowanych na Zachodzie. Tak np. ostrożność ujawniającą się w stopniowej redukcyi godzin pracy widzimy i gdzieindziej. Według poprawki do noweli Berlepscha, wniesionej przez posła Auera, czas pracy miał być ograniczony stopniowo aż do r. 1898; dalej zaś dzień ośmiogodzinny ma być przyjęty jako normalny. Do tego samego wyraźnie dąży i memoryał łódzki, tę samą wreszcie dążność widzimy obecnie w przepisach, urzędowo ogłoszonych. Co do strony teoretycznej, poglądy na tę sprawę poważnych ekonomistów i socyologów są rozmaite. Schäffle twierdzi, iż państwa mogłyby, przy obecnym ustroju, zmniejszyć dzień pracy do 10 godzin, ograniczenia zaś w dalszym ciągu należałoby pozostawić układom dobrowolnym, jak tego dała przykład Wiktorya i inne prowincye w Australii. Bądź co bądź, wprowadzenie w obrębie państwa rosyjskiego przepisów, normujących dzień roboczy, jest wielce doniosłym faktem w dziejach rozwoju społecznego.

Z GALICYI.

Sprawa równouprawnienia językowego w Czechach i jej cele na Szlązku.—Wydzielanie Galicyi z Przedlitawii. — „Koła decydujące" i „większość." — Obawy. — Wydział krajowy i marszałek. — Jak i nad czem pracuje? — Jakie widoki dla nas na wypadek wyłączenia Galicyi z Przedlitawii.

Sprawa równouprawnienia językowego w Czechach przybrała niezwykle wielkie rozmiary; oprócz tego, że stała się państwową, wywołała spory i projekty, które posiadają niezaprzeczoną doniosłość zarówno dla przyszłości Austro-Węgier, jak i dla nas. Do niedawna przypuszczano, że rozwiązanie tej zagadki językowej będzie zakończeniem waśni czesko niemieckiej i przyniesie tak pożądane dla pewnych sfer uspokojenie wewnętrzne. Zanosi się jednak na to, że nawet pomyślne zakończenie tego, tak zwanego „konfliktu" będzie raczej wstępem do szeregu nowych zagadek i kłopotów państwowych. Niemcy nie chcą ustąpić ze swego dominującego stanowiska, a tymczasem nacisk słowiański na sprawy, interesy, a nawet ustrój państwowy Austryi staje się coraz bardziej widoczny i coraz silniej opiera się na konieczności. Idea federacyjna i autonomiczna bierze górę, a dotychczasowy centralizm niemiecki szuka oparcia albo w Prusiech, albo w oporze tak gwałtownym, że traci wszelkie cechy walki politycznej, a staje się awanturą, tem bardziej płaską, że nie ma nadziei zwycięztwa.

W takich anormalnych warunkach politycznych tworzą się najniemożliwsze i najmniej prawdopodobne kombinacye, liczące wszakże na powodzenie. Zdawałoby się, że owo ognisko niepokoju wytworzyło się tutaj nagle, że gorący strumień życia narodowego wytrysnął niespodziewanie, niby źródło gorącej wody, skutkiem działania niewidzialnej siły wulkanicznej. Spokojna na pozór skorupa państwowa Austryi oszukiwała niejednego, bo zdawało się, że jest to organizm uśpiony zupełnie, a raczej niezdolny do życia, tymczasem on był tylko ukołysany do bezczynności centralizmom obcej a samowiednej siły niemieckiej, stojącej na czele rządu. Gdy raz ta skorupa pękać zaczęła, pokazało się dopiero, jaki ferment niezadowolenia, żalów i pragnień krył się pod nią. Zbudzone do życia, a co ważniejsza do samowiedzy rozmaite grupy narodowościowe, skutkiem złamania zapory niemieckiej, już w swoich żądaniach, prawach i dążeniach powstrzymać się nie dadzą. Stąd też wszelkie pogłoski o tem, że konstytucya ma być zawieszoną, że hr. K. Badeni usuwa się ze stanowiska prezesa ministrów, państwowej fermentacyi Austryi nie przerwą, nowego życia, pragnienia nowych form nie powstrzymają. Przeżyte kształty nie wracają — one służyć mogą tylko za materyał do nowej budowy.

Sprawa równouprawnienia językowego w Czechach odbiła się także echem na Szlązku i w Cieszynie. Przypomniano sobie, że tam mieszka nie dwie narodowości, ale trzy: Polacy, Niemcy i Czesi; ³/₇ ludności stanowią Polacy, resztę w równej części Niemcy i Czesi. Proszę wymyśleć sposób równouprawnienia językowego dla tych żywiołów! Dziś jest tak, że wszystkie szkoły średnie są niemieckie, w urzędzie i w administracyi kraju panuje niepodzielnie niemczyzna. Z tego wynika, że nietylko ³/₇ ludności polskiej, ale i odrobina Czechów muszą ulegać garstce urzędników niemieckich. A tymczasem zaczynają odzywać się głosy za równouprawnieniem językowem Szlązka. Z uważnego rzutu oka na statystykę ludności tej dzielnicy widać, że równouprawnienie w tym wypadku będzie zwykłem ustępstwem praw jednej narodowości, silnej, rodzimej, liczniejszej, ale pozbawionej praw i możności prawidłowego rozwoju, na korzyść garstki popieranych przez państwo przybyszów.

Idea przeto równouprawnienia językowego logiczna i sprawiedliwa względem Czech, które posiadają prawie trzecią część ludności niemieckiej, zamieszkującej jednolitą masą całe powiaty, staje się poprostu nonsensem tam, gdzie obce narodowości rozrzucone są grupami. Za podstawę do rozwiązania takiego węzła etnograficznego nie można przeto przyjąć wszędzie i zawsze praw pewnych grup narodowościowych do odrębnego życia, ale prawa państwowe poszczególnych prowincyj austryackich. Zbyt wielkie ustępstwa na korzyść małych grup etnograficznych, a tem bardziej takich, których środek ciążenia politycznego i narodowego leży po za granicami pewnej dzielnicy lub nawet państwa, nietylko nie wytworzy pożądanego spokoju narodowościowego, ale przeciwnie, skutkiem działania si-

---

Płaszcz zsuwał się z drugiego ramienia.

Muzykanci akompaniowali akordami krótkimi.

Muzyka i taniec zlewały się teraz z sobą.

Zdawało się, że ten zgiełk melodyi wybiega z jej stawów; że te dźwięki muzyki wychodzą z ruchów jej ciała.

Płaszcz zsunął się. Obnażona do talii bajaderka popłynęła po izbie.

Mali Singalezi klęczący, trzymali kosze z kwiatami. Ona zaś rozrzucała je dokoła, aż się pokryła nimi cała podłoga.

Koła, zakreślane przez nią, coraz się zmniejszały.

Muzyka dźwięczała jakąś skargą i jękiem.

Bajaderka zatrzymała się na środku izby, zarzuciła ręce za głowę i przegiąwszy się w tył, jak podcięta, padła na ziemię.

Lotos już zerwany.

Trudno było powstrzymać okrzyk zachwytu.

Bajaderka powstała uśmiechnięta, zadowolona z wrażenia wywołanego.

Z kolei wyszła inna.

Gospodarz domu, gdzie się odbywają tańce bajaderek, podał mi na półmisku przysmak, który żują mieszkańcy Ceylonu.

— Zaraz sir zobaczy święty taniec bajaderek, taniec Buddhy.

* * *

Buddha leżał na macie, a przed nim w szalonym wirze kręciła się przy odgłosie klekotek bajaderka.

To padała na podłogę, to powstawała, to jak wąż wiła się po izbie, to na kolanach podpełzała do niego blizko.

Czuł on mocny, odurzający zapach olejku, którym natarte było jej ciało.

O krok od niego dzwoniły jej kolczyki i naszyjniki, przelewały się kamienie drogie, a śród nich dwa czarne dyamenty, dwoje oczu głębokich, zagadkowych, nęcących, patrzyło prosto w jego duszę.

Czuł na swojej twarzy jej oddech. Jej cienkie czerwone nozdrza rozdymały się. Drżała na całem ciele. Z ust nawpół otwartych wyglądały zęby białe jak perły.

Zdawało się, iż gotowa jest dać pocałunek; lecz nagle w jedno mgnienie, jak sarna spłoszona, odskoczyła na drugi koniec izby.

Rzucała się na kolana, robiła błagalne ruchy rękami; w oczach jej świecił przestrach.

I naraz znowu krążyła w szalonym wirze.

To zatrzymywała się przy Buddzie, to usuwała się od rąk, które on do niej wyciągał błagalnie. To zawijała się w płaszcz, to płaszcz ten, jak skrzydła machał przy jej ramionach.

Przybierała pozy, pełne wdzięku dziewiczego i wstydliwości, patrzała oczami wystraszonemi, to puszczała się w szalony tan bachantki.

A gdy wzrok Buddhy zagasł, gdy wszystko przed jego oczami mgłą się zasnuło, ona jednym skokiem znalazła się tuż koło niego, uklękła na jedno kolano, rozgarnęła swe okrycie i przegięła się.

* * *

Opisałem tu dwa najładniejsze tańce bajaderek.

Od innych uderza zbyt silny, odurzający zapach kwiatów podzwrotnikowych.

Bajaderki, kapłanki wesela i tańców — są typem coraz bardziej znikającym.

Czasy, gdy one mieszkały przy świątyniach, już przeszły.

Ta niewielka garstka pozostałych niemogłaby, oczywiście tylko za własne pieniądze, kupić tyle kosztowności, ubierających ich ładne, oryginalne główki.

Mój przewodnik z wielkim trudem zebrał je do tańca.

— Sir, ledwo mi się udało wyprosić je u właścicieli — rzekł, cały oblany potem.

(C. d. n.).

ły odśrodkowej, wyrobią się sztucznie cele i dążenia, które w życie prowincyi i państwa wprowadzą ciągły zamęt, wichry i rozdwojenie w pracy. Z narodami dzieje się to samo, co z ludźmi: tylko rozumni i rozważni ptrafią naznaczyć kresy żądaniom w pewnej chwili dziejowej, tam zaś, gdzie ognisko narodowe, polityczne, umysłowe lub państwowe leżeć będzie po za granicami prowincyi, o równowagę trudno.

To więc, co może być dobre dla Czech, przyniesie szkodę Szlązkowi, tak samo jak przyniosło Galicyi. Na Szlązku nie może być mowy o równouprawnieniu językowem, tylko o prawie — do polskiego języka całej dzielnicy. Rozstrzygającym czynnikiem mogą się stać tutaj nie interesy kółka narodowego lub niewielkiej grupy, ale prawa państwowe prowincyi, która weszła w skład monarchii austryackiej. Austrya zabrała Szlązk nie jako prowincyę niemiecką, tak samo jak i Galicyę, lecz jako część Rzeczypospolitej polskiej. O narodowościach niemieckiej i czeskiej mowy wówczas nie było — tylko o terytoryum państwowem, które nie wszędzie i nie zawsze da się podzielić na grupy narodowe bez szkody dla całości życia dzielnicy i państwa. Mogą wprawdzie dzieci zakreślać sobie granice i koła, po za które przekroczyć nie wolno, ale narody, oprócz życia indywidualnego, żyją także życiem państwowem i wiążą się z sobą wspólnością interesów — wszelkie więc wybujałe żądania drobniutkich grup w imię niby zachowania swojej samodzielności i praw są źródłem bezustannych niepokojów wewnętrznych. Najlepsze siły zużywają się tam na walkę i obronę, chociaż często niema powodu do walki, a to, co się nazywa obroną—jest swawolą polityczną, powstrzymującą rozwój umysłowy i społeczny zalążka, pragnącego zbyt gwałtownie urość w wielki naród.

Do takich rezultatów doprowadzić może zasada równouprawnienia językowego tam, gdzie niema podstaw politycznych, etnograficznych, często statystycznych. Nie życzę sobie bynajmniej, ażeby państwo krępowało rozwój swoich rozmaitych a licznych narodów, ale żeby w rozwiązywaniu spraw spornych nie posuwało się zbyt daleko w imię wrzekomej sprawiedliwości i nie stwarzało przez to niepokojów, walk i przeszkód do rozwoju. Podniosłem tę drażliwą sprawę z tego jedynie powodu, że jest ona dziś na porządku państwowym Austryi, że jest sprawą domową Węgier, Czech, Szlązka i Galicyi i już bodaj z tego względu zasługuje nie na dotknięcie raczej, lecz na wyczerpujące traktowanie.

Ostatnimi czasy związano ją poniekąd, z powodu niemieckich awantur w Radzie państwa, z inną: rozszerzenia samorządu krajów i wyłączenia Galicyi z Przedlitawii. W zasadzie niema tu nic nowego. Co do rozszerzenia samorządu — jest to jedyny prawidłowy dalszy postęp prawno-państwowy Austryi, dążenie do federacyi, kształtowanie się pod wpływem coraz większego rozwoju poszczególnych narodowości, na wzór Szwajcaryi, z cesarzem na czele zamiast generalnego prezydenta i z namiestnikami—zamiast prezydentów kantonalnych. Jest to droga życia państwowego, której kierunku my zmienić nie możemy. Inaczej się rzecz przedstawia co do wyłączenia Galicyi z Przedlitawii, tj. stworzenia dla niej mniej więcej takiego stanowiska politycznego, jakie posiadają Węgry. Nie jest to myśl nasza bynajmniej, ale niemiecka i nie nowa wcale, tylko teraz znowu na porządku dziennym stanęła. Z punktu polityki niemieckiej w Austryi byłaby to rzecz dobra — nie o nasze dobro wszakże chodzi tym mohikanom centralizmu. Przełożywszy myśl polityczną na język zwykłych śmiertelników, oznacza to: wolę uciąć poły, niż stracić całe ubranie. Niemcy co dnia z zadziwiającą szybkością tracą władzę w Austryi i jeśli ktoś powie, że za sto lat Wiedeń stanie się miastem słowiańskim—nie będę się temu dziwić. Połączenie się w parlamencie Czechów z Polakami utworzyło większość, która nietylko uniemożebnia dalsze panowanie niemczyzny, lecz jest dowodem, że dla tego panowania w przyszłości brak podstaw. Czesi są tak spojeni z Austryą i z narodowością niemiecką, iż terytoryalnie przedstawiają figurę, która klinem wchodzi w granice niemieckie; ponieważ odłączyć się nie dadzą, a zatem — trzeba odłączyć Galicyę i tym sposobem zachować pozory niemieckości dla całego państwa i władzy bodaj w małej jego części. Oto zamiar centralistów niemieckich — na dziś. Projekt ten nie był nigdy przedmiotem dyskusyi ani parlamentarnej, ani nawet politycznej w Galicyi, nie możemy przeto wiedzieć, jakby się nań zapatrywały t. zw. koła rządzące, zarówno jak i szerokie koła ludzi wykształconych. Słychać jednak, że „koła decydujące“ nie życzą sobie tego. W takim razie byłyby to powody natury politycznej. Ci, których ambicya utrzymuje na wyżynie państwowej, nie zechcą dla błahych powodów obywatelskiej służby pracować cicho, bez rozgłosu i bez sławy wiedeńskiej. Niezawodnie, że wydzielenie poniekąd Galicyi ze związku państwowego Austryi dla kraju naszego mogłoby się stać poprostu dobrodziejstwem: uniezależniłoby nas ekonomicznie, pozwoliło rozwinąć przemysł swojski, położyłoby wkrótce tamę zalewowi fabrykantów niemiecko-czeskich, którzy, stworzywszy u nas rynek wewnętrzny dla swoich wyrobów, wypompowują wszystkie pieniądze z kraju, a co ważniejsza, pozwoliłoby nareszcie położyć kres swarom narodowościowym. Tak to wygląda w teoryi, a w praktyce?

Zanim dam odpowiedź na to pytanie, muszę kilka słów powiedzieć o teraźniejszym marszałku krajowym, hr. Stanisławie Badenim. Zdawałoby się, że w Galicyi po za dobrotliwym cesarzem Franciszkiem Józefem panuje jeszcze dynastya Badenich. P. marszałek był człowiekiem dużych nadziei; spodziewano się od niego czegoś nadzwyczajnego. Grosze namiętnie lubił, do tego stopnia, że jeden z pachciarzów, który go znał z interesów, mówił: „to wielkie szczęście, że wun urodził się bogatym“ Czekaliśmy, póki te zdolności wprowadzi nareszcie do pracy publicznej — i nie doczekaliśmy się. Stojący na czele Wydziału krajowego utrzymują, że teraz bawi się w królika bulgarskiego, który zamiast ochraniania konstytucyi, powiada: konstytucya, to — ja. Przedewszystkiem, jak wszyscy zbieracze groszy, nie okazał ani zdolności organizatorskich, ani administracyjnych, przynajmniej zastosowania tych zdolności do pracy publicznej nikt nie dostrzegł. Jest on pilnym bardzo urzędnikiem, godziny biurowe odsiaduje, strzeże, ażeby podwładni odrabiali swoje „kawałki,“ oblicza je ledwie nie u każdego urzędnika, obcina dyety, czyta i podpisuje wszystko - i tyle. Zapewne, jest to wiele, bo poprzednicy jego i tyle nie robili — ale to za mało, bardzo mało, bo to nie jest jeszcze gospodarstwo publiczne. Organizacya szkół rolniczych kuleje dotychczas tak samo, jak kulała przed nim, a uczęszczanie do zakładu, który poprzednicy jego postawili pod względem naukowym na równi z najlepszymi w Europie (szkoła rolnicza w Dublanach), co rok upada; najszerszy, największy i najważniejszy dział gospodarstwa krajowego — rolnictwo, nie ma nawet dotychczas fachowego referenta w Wydziale krajowym od śmierci Strusiewicza. Mówią, że na ten urząd już sobie upatrzyli kogoś, ale — rośnie jeszcze, więc trzeba cierpliwości, bo są sprawy, które tylko cierpliwością robić można. W radach powiatowych takie samo niedołęstwo, jak było, do tego stopnia, że z władzy swojej, nadanej mu przez konstytucyę, wglądania i kontrolowania gospodarstwa w zakresie gminy, Wydział krajowy prawie nie korzysta; zdawałoby się, że jest najwyższą instytucyą, pilnującą tylko dróg i mostów. Naliczyłbym faktów więcej. Cóż robi marszałek i jak się objawia jego zdolność?

Niezbyt się pomylę, jeśli powiem, że marszałek bardzo wytrwale odczytuje tylko różne „kawałki“ i podpisuje; jest zegarkiem Wydziału krajowego; pracowity, pilny, zajął stanowisko nadradcy w biurze z tą chyba różnicą, że w stosunku do radców Wydziału i rady stał się kacykiem autokratycznym. Rada uchwala większością głosów, ale marszałek nie stosuje się do tej uchwały, czyli mówiąc inaczej, pozostaje ona niewykonaną. Zachodzi nieraz wypadek, że jakieś polecenie jakiejś sekcyi trzeba wykonać, ale ponieważ ono nie podoba się marszałkowi— nie można znaleźć innego określenia — więc ten chowa je do biurka i koniec. Możesz sobie biedaku czekać do skończenia świata. W ten sposób możnaby dojść do wniosku, że Wydział krajowy niepotrzebny wcale. Prawda, w obecnym składzie na niewiele on się przyda, ale też i tam, gdzie jedna osoba może uchwały nie wykonać lub zrobić, co zechce — nasuwa się pytanie: czy nie wytwarza się u nas nowa dynastya kacyków, którzy zamiast pracy publicznej zadawalać się będą — pokłonami publicznymi?

A teraz możemy przejść do przerwanego zakończenia, a raczej do ostatecznego wniosku. Kiedy w rozmowie z kimś starałem się wykazać korzyści, jakieby na kraj spłynęły, gdyby się oderwał nareszcie od zależności i protekcyi wiedeńskiej, pracując dla siebie tylko, nie dla innych, odpowiedział mi bez ogródki: nie czas. Nie czas? Kiedyż on przyjdzie? Dlaczego nie czas? Szerokich kół wykształconych a niezawisłych i uczciwych pod względem przekonań nie posiadamy, nie posiadamy więc materyału politycznego pod dostatkiem; gdzie brak ludzi, na miejsce ich stawiają manekinów, którzy ludzi udają, a w takim razie co się stać może? Garstka stojących przy władzy dynastów stanie się autokratami bezwzględnymi i rządy całego kraju zagarnie w swoje ręce; za urzędy będzie kupować popleczników, za jałmużnę — pochlebców w prasie, a przez tę falangę żaden głos nie przedrze się i nie będzie wysłuchany. Teraz oni się jeszcze Wiednia boją, bo wiedzą, że tam jest władza, a gdy jej nie będzie, gdy nad sobą nie zobaczą nikogo — zaczną dopiero gospodarować po sułtańsku. Jakież to byłoby smutne, gdyby mogło stać się prawdą!

Cho.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 12 lipca.

Czytelnie ludowe. — Wystawa obrazów. — Zjazd Towarzystwa przemysłowego w Toruniu. — Polemika pism. — Nowy wniosek hakatystów. — Sprzedaż dóbr ziemskich. — Gorliwość policyi pruskiej. — Centralny komitet wyborczy. — Wędrówki ludności polskiej na zachód. — Obawy.

Lat siedemnaście już upływa od daty założenia bardzo pożytecznej instytucyi w Poznaniu: czytelni ludowych. Marzenia ich twórców były bardzo szerokie. Za pośrednictwem tej organizacyi miano na wielkich przestrzeniach kraju uprzystępnić książki śród ludu, zachęcić go do czytania, nauki, tudzież nabywania książek. O ile te marzenia spełniły się, niech powiedzą fakty, zaczer-

pnięte ze sprawozdania za rok ubiegły. Uderza nas najpierw cyfra składek: 9,734 marki. Suma to dość skromna w stosunku do potrzeb i zadań z góry nakreślonych. W porównaniu z wykazami lat ubiegłych widzimy, że rok przeszły nie należy do najpomyślniejszych. Jeden tylko 1887 był świetny, jak na nasze społeczeństwo ubogie: po stworzeniu w Berlinie komisyi kolonizacyjnej i uświęceniu praw ucisku żywiołu polskiego. Wtedy właśnie zbudził się śród mas ludności naszej duch odporności i pod jego wpływem w ciągu roku zebrano 21,239 marek na czytelnie. Przez cały czas istnienia tej instytucyi złożono ogółem na oświatę ludową 194,194 marek (przeciętnie po 12,136 rocznie). Jak ostatni rok wykazuje, składki zmniejszyły się, a skutkiem tego i całą działalność ograniczono. Tak np. w ciągu roku założono tylko 38 nowych czytelni i rozpowszechniono 20,014 książek. Ze względu na to, że, jak głosi sprawozdanie, chęć czytania śród ludu w Poznańskiem, na Szlązku Górnym i w Prusiech Zachodnich (Królewskich) „utrzymuje się zawsze na stopniu wielkiego ożywienia“ — jest to rezultat bardzo skromny.

Bądź co bądź, względnie do swych środków instytucya oświaty ludowej robi co tylko może. Setki tysięcy książek rozeszły się pod strzechy włościańskie, dzięki czytelniom rozsianym wszędzie, gdzie tylko ludność polska istnieje. Na Szlązku Górnym pisemka polskie liczą po kilkadziesiąt tysięcy prenumeratorów. W skład zarządu czytelni ludowych wchodzili w roku sprawozdawczym: ks. Zdzisław Czartoryski, prezes; prof. dr. Leon Witulski, wiceprezes; dr. Bolesław Kapuściński, skarbnik; dr. Stanisław Jerzykowski, bibliotekarz; Zygmunt Dziembowski, Wojciech Łubieński i dr. Władysław Łebiński.

D. 2 lipca zarząd Towarzystwa sztuk pięknych otworzył wystawę obrazów, która potrwa do końca miesiąca. Z Polaków wzięli udział następujący artyści: Wierusz Kowalski wystawił „Kłusownika“ (własność galeryi narodowej w Berlinie), M. Wywiórski—„Wyjazd na polowanie,“ B. Łaszczyński—krajobraz, Tadeusz Rybkowski — dwie prace na temat „Wesele chłopskie,“ Trębacz z Warszawy—„Głowę starca,“ studyum, Wodziński —„Za zasłoną.“ Z malarzów miejscowych wystawili: prof. M. Jaroczyński „Włochnę,“ K. Szmyt — portrety, nauczycielka malarstwa p. M. Kremerówna — studya olejne i akwarelowe. Wszystkie te nazwiska pokutują w katalogach tudzież napisach, umieszczonych wyłącznie w języku niemieckim.

Z powodu 25-letniego jubileuszu Towarzystwa przemysłowego w Toruniu, zapowiedziano tam na 4 lipca wielki zjazd przemysłowców i kupców z Prus Zachodnich i Wielkopolski. Między innemi na porządku dziennym umieszczono bardzo ważną sprawę: Jakie są obowiązki ogółu naszego wobec przemysłu i przemysłowców, ze względu na wrogą i nieustanną działalność hakatystów? Zjazd powinien wykazać obraz organizacyi przemysłu polskiego i warunki jego istnienia przy ucisku germańskim. Wszystkie warstwy społeczeństwa naszego wysłały swych przedstawicieli, których jest ogółem przeszło dwustu. Z powodu tego zjazdu dwa zasadniczo przeciwne organy: zachowawczy *Dziennik Poznański* i demokratyczny *Orędownik* toczą spór ze sobą. Pierwszy widzi niebezpieczeństwo w nadawaniu charakteru politycznego organizacyom ekonomicznym. Szczególnie dziś taki charakter — zdaniem jego — może być szkodliwy, gdy wszelkie stowarzyszenia polskie wzniecają ciągłe podejrzenia i czujność władz pruskich. Wprowadzenie więc pierwiastków politycznych do towarzystw wyłącznie ekonomicznych, bardzo pożytecznych dla kraju, może nieobliczone klęski sprowadzić.

Z łona hakatystów wyszedł niedawno nowy wniosek. Oto proponują oni, ażeby rząd, nie poprzestając na działalności komisyi kolonizacyjnej, nabywał na własną rękę obszary ziemi w W. Ks. Poznańskiem, Prusiech Zachodnich, na Szlązku Górnym i tam urządzał posterunki państwowe. Rząd może tego dokonać łatwo: sprzedać lub rozparcelować część swoich dóbr na Pomorzu, w Brandenburgu i Saksonii, za uzyskane tą drogą pieniądze stworzyć domeny na ziemiach polskich i tam osadzić urzędników, wyłącznie Niemców, tudzież dać zajęcie robotnikom niemieckim. W ten sposób skutecznie przyczyniłby się do rozwoju germanizacyi na kresach wschodnich.

Skoro mowa o środkach niemczenia, musimy przy sposobności zaznaczyć, że Landbank niedawno nabył na subhaście dobra Murczyn (pow. Żniński w W. Ks. Poznańskiem) za 300,000 marek (niespełna 1,500 morgów). Bank ziemski wystąpił w tem kupnie do współzawodnictwa, ale ze względu na swe fundusze, stosunkowo dość szczupłe, licytował tylko do 285,000 marek. Właścicielem tych dóbr był Niemiec i znowu pozostały one w rękach instytucyi niemieckiej, dzięki przewyżce 15,000 marek. Obok tego smutnego faktu musimy zaznaczyć inny, pomyślniejszy: Oto piękny i duży majątek Jankowice, w pow. Poznańskim (3,400 morgów), przeszedł w ręce Polaka, hr. Stefana Kwileckiego z Dobrajewa. Nabył on te dobra od Niemca, Mathesa, za 925,000 marek.

Skutkiem nadania policyi pruskiej władzy nieograniczonej, krępuje ona bezustannie na każdym kroku działalność naszych stowarzyszeń i to nawet wtedy, gdy ta nosi charakter zabaw. Tak np. wielu Towarzystwom przemysłowym i gimnastycznym odmówiono pozwolenia na majówki! Odwoływanie się do wyższych władz jest zupełnie bezskuteczne. A oto jeszcze wiązanka czynów policyi pruskiej: W Dzierżąznie (pow. Kartuski, Prusy Zachodnie) przybyły na zebranie Towarzystwa ludowego żandarm, rozwiązał posiedzenie dlatego, że sekretarz zaczął czytać po polsku. Towarzystwom przemysłowym w Koronowie, Gostyniu, Trzemesznie i Dolsku zakazano wymarszów z muzyką i zabaw w lesie. Podczas obchodu jubileuszu Towarzystwa przemysłowego w Inowrocławiu, policya zakazała wymarszu z chorągwią do kościoła na mszę, tudzież na zabawę. Natomiast tego samego dnia cztery Towarzystwa niemieckie maszerowały tam z chorągwiami i muzyką przez ulice. Nie dość tego, policya zaczyna już wglądać nawet do życia prywatnego: Oto niedawno ks. Zdzisław Czartoryski w Sielcu urządził w swym parku majówkę dla miejscowego kółka rolniczego. Policya, dowiedziawszy się o tem, rozciągnęła dozór nad zabawą, a raczej wtargnęła tam brutalnie. Tymczasem zbiorowe burdy, awantury, zakłócanie spokoju i bezpieczeństwa publicznego, pochodzące ze strony Niemców, są najzupełniej tolerowane przez policyę pruską.

Nie na tem jednak koniec. Nienawiść Niemców dla nas i wszystkiego, co polskie lub wogóle słowiańskie, wzrasta z dniem każdym, a najzapalczywsi i najbardziej fanatyczni wrogowie nasi są niewyczerpani w pomysłach gnębienia za pomocą środków organizacyjnych. Nie poprzestając tedy na Towarzystwie szerzenia niemczyzny, postanowili zawiązać na kresach wschodnich centralny komitet wyborczy, którego zadaniem będzie w tych powiatach, gdzie ludność polska liczebnie niezbyt przeważa, przeprowadzać wybór kandydatów niemieckich na posłów do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego. Prócz tego ów komitet ma łączyć i solidaryzować z sobą niezgodne żywioły niemieckie w tych wypadkach, gdy chodzi o walkę z polonizmem. Pomysł ten jednak nie znalazł uznania w niemieckiej prasie wolnomyślnej. Widzi ona w tych środkach zamachy na wszystkie mandaty niemieckie w prowincyach wschodnich na korzyść wszelkich, że tak powiemy, spekulantów politycznych, którzy pod „wielkie cele“ chowają zamiary zwyczajnych rabusiów.

Wychodźtwo ludności polskiej do prowincyj niemieckich wznieca wielki niepokój śród hakatystów. Tak np. p. Artur Dix dopatrzył w wędrówkach robotnika polskiego ku Zachodowi wielkie niebezpieczeństwo dla ludności niemieckiej pod względem narodowym, kulturalnym i ekonomicznym. Według jego obliczeń, ludność polska w całej monarchii pruskiej wynosi 2,819,544 (ogólna liczba mieszkańców 29,955,281). Dalej, według tegoż źródła, przebywa Polaków: w Westfalii 50,043, Saksonii 75,400, nad Renem 33,739, w Berlinie 66,006, ogółem 219,182. Otóż doradza on, ażeby rząd obmyślił jakieś środki zażegnania „niebezpieczeństwa,“ tj. obrony miast i wsi przemysłowych niemieckich przed napływem ludności polskiej, która „tuczy się złotem niemieckiem“ i po powrocie do miejsc rodzinnych, wypiera Niemców z „odwiecznych“ ich siedzib!

TWÓRCZOŚĆ A KONKURENCYA.

III.

Każdej epoce dziejowej są właściwe pewne manie obłąkańcze i zarazy umysłowe. Zboczenia te może najjaskrawiej ujawniają naturę każdorazowego ustroju społecznego i oddziaływanie jego na duchowość ludzką. Cywilizacya dzisiejsza, oparta na zasadzie współubiegania się wzajemnego i pożerania, także nie omieszkała wykoszlawić jaźni naszej i nałożyć na nią piętna charakterystycznego. Każdy z atomów-ludzi ma w fizyognomii duchowej pewne rysy — wygórowanego pojęcia o swojem „ja.“ Zwłaszcza na ostatecznem ogniwie łańcucha, złożonego z takich stanów, wykoszlawienie to przybiera wprost potworne rozmiary, w tak zwanej *mania grandiosa*, aż nazbyt często idącej w parze z obłędem prześladowczym. „Obłąkanie wielkości— pisze jeden z psychiatrów (Regnard)— jest zboczeniem, datującem się względnie od niedawna. Starsi autorowie o niem jeszcze nie wspominają. Chociaż inne manie i melancholie dają im powód do dłuższych wyjaśnień, przecież zaledwie słówkiem potrącają szał wielkości, który wszakże odrazu przykuwa do siebie uwagę niespójnością swoją i nadmiernem nieprawdopodobieństwem pomysłów!“

Domy dla obłąkanych są archiwum socyologicznem, dla badania wpływów otoczenia na naturę ludzką. Mania wielkości, nieznana tam ongi, dzisiaj zaś bardzo częsta, odsłania nam tajniki ducha uczestników nowoczesnego zamętu: istota ludzka, przeciwstawiona innym, zmuszona do nieustającej ostrożności i postawy zaczepno-odpornej, pamiętająca zawsze o tem, że dokądkolwiek zwróci się, wszędzie czyhają na nią kły drapieżców dwunożnych, czerpie siły w nadmiernem zaufaniu w siebie. Jak zwierzę podbiegunowe barwą swoją podszywa się pod koloryt biały śniegów i lodów, tak człowiek epoki obecnej nadrabia miną: reklama i blaga, tak powszechne dzisiaj, są objawami „mimicry“ społecznego, tj. przybierania charakteru, najstosowniejszego w danem otocze-

niu. O ile to udawanie stanie się głębszem i skuteczniejszem, jeśli zamiast obłudy świadomej ukaże się arogancya, tj. wygórowane pojęcie o wartości swojej własnej! Życie nasze polega, z dnia na dzień, z roku na rok, na wyścigach wzajemnych i tylko ci, którzy mają nadmierne pojęcie o sobie, posiadają niewątpliwie szanse zwycięztwa. Może nie dobiegną, ale w każdym razie spróbują sił swoich. Inni, uposażeni może większemi zdolnościami, nigdy nie dojdą mety, bo nie ufają we władze ducha swego i nie rozpoczną wyścigów. Takie „ja," obdarzone przesadzonem wyobrażeniem o swojej wartości, drapieżne i chciwe, żądne nadto użycia i nie trzymane na wodzy instynktami humanitarnymi, występuje coraz śmielej i bezczelniej w miarę zamiany więzi społecznej na olbrzymie targowisko i na gromady współubiegających się i nawzajem walczących atomów. Rodzi się ideologia rozpasania indywidualnego. Nie godzi się bowiem mieszać tych drapieżników, dobijających się o pasztet na uczcie życia, z indywidualistami początków wieku naszego, z takim np. Byronem. Child-Harold, Manfred i in. walczyli o wyzwolenie ducha naszego z kajdan przesądu. Poddaństwo, *adscriptio glebae*, upadło, ale pozostały po tym okresie jarzma dodatkowe: przymocowanie istoty ludzkiej do wyznania, tradycyjnych form stosunku małżeńskiego, zwyczajów, nieraz bardzo uciążliwe. Byron i inni wielcy szermierze indywidualizmu rzucili właśnie wyzwanie tym szczątkom atmosfery poddańczej. Był to prąd nawskróś zdrowy i silny. Chodziło tam o starganie pęt, które krępowały polot wolnego ducha. Niektórzy z tych apostołów nowego hasła mylili się, bo brali swobodę, właściwą targowisku, za jedno z warunkami pełnego rozkwitu osobowości ludzkiej, ale bądź co bądź błąd ów był koniecznością dziejową. „Ja" dzisiejsze występuje z obliczem zgoła innem: jest to istota rozpasana, prócz szczęścia swego i użycia o nic nie dbająca, marząca nie o zerwaniu kajdan z tłumów, ale o nałożeniu ich na innych, byleby tylko jej chuciom i namiętnościom stało się zadość. Nie daremnie kultowi *Uebermenschów* u niemieckich sekciarzy Nietzschego towarzyszy uwielbienie dla Bismarcka, tego wcielenia „bestyi jasnowłosej," mającego potężne pazury i jeszcze potężniejszy apetyt. Brissot, jeden z ojców duchowych ideologii rozpasania indywidualnego, wyrzekł, iż jednostka, gdyby posiadała siły odpowiednie, miałaby prawo zupełne pożreć bliźnich. Stirner pragnąłby zamienić społeczeństwo na gromadę samolubów, na *freien Verein freier Egoisten.* W przedmowie do swego dzieła każe gorzko utyskiwać skrzywdzonej jaźni swojej: „Azaliż nie wszystko powinno być moją sprawą? Mówią mi o sprawie dobrej, o sprawie ludzkości, prawdy, swobody, sprawiedliwości, o sprawie mojego narodu i ojczyzny, wreszcie o sprawie ducha i tysiącu innych. Tylko sprawa mego własnego „ja" nigdy nie powinna być moją!"

Z biegiem czasu poglądy rozwijają się i doskonalą, aż wreszcie powstają całe systemy etyki i socyologii, pisane specyalnie dla drapieżców i mające dostarczyć argumentów dla tych, którzy zamierzają wstąpić na drogę manii wielkości. To „ja" nowożytne, bezwzględne, nieludzkie, chciwe, ma na swoje zawołanie filozofów, poetów i publicystów.

Kilka przykładów starczy.

Nietzsche etykę pomocy wzajemnej i względności uważa za dobrą tylko dla niewolników ducha. „Panowie," owi „nadludzie" i *blonde Bestien*, nie mają i nawet nie powinni mieć ani uczuwać nad sobą żadnego wędzidła i nie podlegać żadnemu głosowi, prócz własnych żądz i łaknień. *Hart sei!* Innemi słowy: nie zważaj na nic, depcz i tratuj innych, niszcz i pastw się, i tylko wtedy będziesz godny nazwy nad-człowieka! Nie chcę bynajmniej twierdzić, iż taką dosłownie była myśl filozofa niemieckiego, ale niewątpliwie tak ją pojęli i tak zastosowali jego wielbiciele. Czytałem świeżo powieść, napisaną przez kogoś z tej czeredy. Bohater, niejaki Falk, spotyka uczciwą i naiwną dziewczynę i uwodzi ją, świadom, że ją niebawem porzuci i że, zmarnowana i rozbita, życiem własnem przepłaci krótką chwilę upojenia. Ale takie jest jej przeznaczenie — rozmyśla uwodziciel, gdy podczas burzy wraca od niej nocą. Piorun właśnie uderzył w drzewo i zwalił je. To daje powód Falkowi do długiego monologu na temat uwiedzenia. Ustęp jest bardzo charakterystyczny, ażebyśmy nie mieli go przytoczyć pomimo jego długości:

„....— Życie i śmierć.

— Tak trzeba szerzyć zagładę... Maryla... tak!... zniszczona...

W świadomości Falka w sposób nagły, błyskawiczny powstała myśl, iż zniszczył Marylę.

— Dlaczego nie! Jestem cząstką przyrody, niszczę więc i daję życie. Stąpam po tysiącu trupów, bo muszę. I szerzę życie nad życiem, bo także muszę.

— Ja jestem nie-ja. Ja jestem tobą: bóstwem, światem, przyrodą. Nie jestem człowiekiem, ale nad-człowiekiem — bez wyrzutów sumienia, panem i dobroczyńcą. Jestem przyrodą, nie mam więc sumienia, bo i ona go nie ma!

— Tak, jestem nad-człowiekiem!

Falk głośno krzyknął. I ujrzał siebie jako czerwonawy snop światła, który wydobył się z ołowianej chmury, rozpadł się na siedem języków i zabił gołąbka na drodze. Będzie musiał on jeszcze rozdzielić się na tysiąc błyskawic i zgładzić tysiąc gołąbków i zniszczyć tysiąc królików. I tak zawsze będzie postępował — zawsze niszczył i zgładzał!

— Dlatego, że tak trzeba.

— Dlatego, że ja tak muszę.

— Dlatego, że tak pragną moje instynkty.

— Dlatego, że jestem nie samym sobą, ale nad-człowiekiem.

— Czy można z takiego powodu dręczyć się wyrzutami? Byłoby to śmieszne!

— Czy błyskawica wie, po co zabija i czy jest panią rozsądku swego i czy zna chucie swoje?

— Nie, jest zdolna tylko stwierdzić fakt, iż gdzieś uderzyła.

— Tak, stwierdzić i wciągnąć do protokółu!

— I ja więc stwierdzam fakt i wciągam go do protokółu, że zgładziłem dzisiaj młodą gołębicę!.."

Barres, przedstawiciel młodego pokolenia poetów francuskich, nieco inaczej wygłosił te same myśli. Napisał on dwa utwory: jeden *Sous l'oeil des barbares*, tj. tłumów, hołdujących przesądom, w tej liczbie niedotkniętych zarazą nihilizmu społecznego i pokorą dla rozpasania indywidualnego; drugi *l'Homme libre*, tj. człowiek wolny, znający tylko swoje „ja" i wiedzący, że wolno mu zarznąć każdego, ktokolwiek stanie mu w poprzek drogi. Osobowość ludzka jest i dzisiaj tak skrępowana, tak cięży nad nią swawola i bezmyślność tłumów, że z wielu poglądami Barrèsa niepodobna nie współczuć. Ale prócz tego zabarwienia, dla nas sympatycznego, istnieją tam i nawet stanowią wątek zasadniczy inne założenia. „Kocham, ponieważ podoba mi się kochać, przytem w rzeczywistości kocham tylko siebie samego!" „Kochać i obejmować świat mogę tylko obejmując i nieskończenie uwielbiając siebie." „Cała treść życia polega na tem, iż przekonywamy się, jako niema żadnej prawdy, a istnieją tylko różne punkty widzenia. Każdy z nich głosi zasadę sprzeczną z tem, co powiada inny, my zaś, przy pewnej zręczności, możemy stanąć na pierwszym lepszym z nich, stosownie do zbiegu warunków!" W gruncie rzeczy jest to moralność prostytutki. I Barrès jest takim nierządnikiem w życiu publicznem, szedł nawet z Boulangerem, ponieważ tam węszył karyerę.

A takie zasady moralne wyznaje nie jedna i nie dwie osoby, ale całe tłumy przesiąkają niemi pod nieustającem działaniem wzajemnego odosobnienia i powszechnego współubiegania, tylko że nie wszyscy mają odwagę postawić kwestyę tak wyraźnie i otwarcie przyznać się, iż prócz głosu namiętności swego „ja" nie znają innych pobudek. Zresztą hołd, oddawany takiej etyce pazurów indywidualnych, jest w znacznej mierze żywiołowy, odruchowy. Pospolity śmiertelnik rzadko zajmuje się zagadnieniami teoretycznemi: w walce o pasztet społeczny chwyta, co mu wpadnie pod rękę, nie namyślając się, czy mu służy takie „prawo." Bierze on życie tak, jakiem jest. Nadto w jaźni własnej nie widzi on pierwiastków szczególnej wyższości i nie ma powodów żądać dla siebie przywilejów osobliwych: uważa siebie za człowieka, ale nie za nad-człowieka. Filozofia, osłaniająca swoją powagą chuć pożarcia wszystkiego i zdeptania innych, zjawia się dopiero wtedy, kiedy drapieżnik zaczyna myśleć, że jest ulepiony z wyjątkowej gliny, kiedy z powodu wysubtelnienia artystycznego, filozoficznego i wogóle duchowego, z pogardą spogląda na „barbarzyńców," marzących tylko o żarciu z koryta — niechlujnem, bez pozorów piękna i smaku. Przeciwstawia tym tłumom siebie jako „istotę wolną," wyższą, przecywilizowaną...

Rodzi się „arystokracya ducha," marząca o zapanowaniu nad hołotą, o wzięciu jej pod swą opiekę i władzę. Idea ta jest stara. U Renana możemy odszukać już jej zarodki. Ale na dobre rozrosła się i przybrała charakter wyraźny dopiero w ostatnich czasach. Nie chcemy powiedzieć, ażeby każdy umysł wysubtelniony dochodził do takich pojęć, zaznaczamy tylko, że arystokracya ducha jest jak gdyby rozczynem, sprzyjającym powstawaniu *Uebermenschów.*

L. Krzywicki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Choroba Warszawy

Choroba Warszawy — przeprowadzka świętojańska, skończyła się. Skutkiem znacznej podwyżki cen mieszkaniowych, będącej następstwem podniesienia podatków od domów, objawiła się ona podobno w szerszych, niż zwykle rozmiarach. Nie myślimy tu zalecać nowych leków na tę nieuleczalną chorobę naszego miasta — zbyt ona wżarła się w jego życie — chcemy tylko zwrócić uwagę na inną chorobę, której zatamowanie jest możliwe, a która w roku bieżącym objawiła się groźnie. Ponieważ budowlany rozrost Warszawy spoczywa prawie całkowicie w rękach spekulacyi, spieszącej się ze zdobyciem swych zysków, więc do wypadków dość zwyczajnych należy u nas sprowadzanie się do lokalów, w których nietylko ściany są jeszcze wilgotne, ale brak drzwi, okien, poręczy schodowych itd. Naturalnie przedsiębiorca przy wynajmie obiecuje wszystko wykończyć przed terminem, ale nie spełnia tego zobowiązania nigdy, a oszukany lokator godzi się ze smutnym zawodem

w złudnej nadziei, że męka jego potrwa niedługo. Trwa ona jednak nieraz po kilka miesięcy i jest nietylko straszną torturą, ale źródłem wielu chorób. Bo łatwo pojąć, czego nabawić się mogą ludzie umieszczeni w mokrych murach, w wyziewach schnącego wapna i farb, w przeciągach okien nieoszklonych itd. Pamiętamy, że przed kilku laty policya surowo, jak twierdzono, zbyt surowo dopilnowywała, ażeby nie wynajmowano i nie oddawano do użytku lokalów niewykończonych. Dobry, o ile był sprawiedliwie stosowany ten przepis poszedł widocznie w zapomnienie, skoro jeden z dzienników warszawskich donosi: „Lokatorowie wnoszą się po schodach bez poręczy, obejmują mieszkania przy akompaniamencie kielni, młotków i hebli. W pewnych też domach handlujący wnoszą towary do sklepów, gdy na wyższych piętrach lokale są jeszcze dalekie od zupełnego wykończenia."

Co wobec tych szachrajstw i nadużyć pomoże hygiena? Jak tu marzyć o zdrowiu? Zaiste na rozkielznaną spekulacyę budowlaną powinno być nałożone wędzidło, tem bardziej, że je nałożyć łatwo.

Zamknięcie składek.

Suma ofiar na pomnik Mickiewicza doszła 200,000 rs., a komitet w odezwie swej zawiadomił, że przyjmowanie składek zamyka. Ponieważ ustała jedna z przyczyn, krępująca nas dotychczas w krytyce jego działań, mianowicie obawa osłabienia ufności do ludzi, którzy dobrą i ważną sprawę w ręce swoje ujęli, więc w następnych numerach pomówimy nieco szerzej. Tymczasem zaznaczamy fakt bolesnej niespodzianki, jaką ów komitet sprawił wszystkim, którzy nie zdążyli wnieść swoich składek. Otoczony obłokiem tajemnicy, uznając społeczeństwo godnem tylko spełniania jego postanowień, nie uprzedził on go ani jednem słowem, że wysokość ofiar nie może przekroczyć 200,000 rs. Wprawdzie wspomniał o tem raz *Kuryer Warszawski*, ale jego informacya nie była obowiązującą. O ile nas objaśniono na ubocznej drodze — a na takiej tylko można było zdobyć jakąś wskazówkę — nie władze, ale sam komitet określił w swem podaniu sumę 200.000 rs. Rzecz naturalna, że dla władzy posiadała wagę tylko zasada, tj. czy ma być w Warszawie postawiony Mickiewiczowi pomnik, czy też nie, jego zaś koszt stanowił kwestyę podrzędną. Skoro tedy składki przewyższyły żądaną sumę, nie pozostaje komitetowi nic innego, jak tylko wnieść do władzy podanie dodatkowe z prośbą o rozszerzenie granicy ofiar z możnością użycia ich bądź na pomnik, bądź na fundacye jubileuszowe imienia Mickiewicza.

Za daleko.

Kuryer Warszawski odnalazł „hakatystę" w Charkowie. Donosi on: „Jeden z handlowców, który pracował dawniej w składzie fabryki żyrardowskiej, istniejącym w Charkowie, pragnął zapisać się na członka warszawskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych. Komitet Towarzystwa w zwykłym porządku przesłał do Charkowa drukowaną odezwę z formularzem dla podania szczegółów, dotyczących kandydata. Pan zarządzający składem charkowskim zwrócił Towarzystwu formularz niewypełniony z adnotacyą, w której prosi o korespondowanie między innemi po niemiecku. Impertynencya ta wyrządzona została oczywiście tylko dla szykany, gdyż w kantorze składu charkowskiego pracują Polacy, którzyby mogli bądź sami wypełnić rubryki formularza, bądź treść jego swemu zwierzchnikowi objaśnić." Po co było tak daleko szukać, kiedy nierównie bliżej, bo w samym Żyrardowie znajduje się źródło najzajadlejszego hakatyzmu. Nietylko w zarządzie tej fabryki, ale we wszelkich jej stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych panuje tak wyłącznie i wszechwładnie niemczyzna, jak w sercu Prus. Niemczyzna zaś ta nie ogranicza się na samym języku, ale tkwi w rdzeniu i duchu przedsiębiorstwa. Polacy i wogóle nie-Niemcy są tam tylko tolerowani i poniewierani z prawdziwie hakatystowską nienawiścią. Cóż więc dziwnego, że przedstawiciel tej firmy w Charkowie wypełnia formularz po niemiecku, kiedy ona tu wszelką korespondencyę załatwia w tym języku, wyjąwszy stosunki z władzami, gdzie już nie może pozwalać sobie na pruską butę.

Prasa polska.

W prasie warszawskiej coraz wyraźniej zarysowywują się dwa prądy: jeden nawołujący do trzeźwości, praktyczności i niepodnoszenia głowy po nad poziom realnych interesów, a drugi... Ten drugi właśnie tak się odzywa w *Wieku:*

„Według starej maksymy skamieniałego pozytywizmu rozpoczął Prus po raz nie wiem już który leczenie społeczeństwa z choroby... uczuć. *Kuryer Codzienny* nie mógł odmówić gościny stałemu fejletoniście swemu i dlatego to kurs jednostronnej hydroterapii ukazał się w łamach tego czasopisma, które dotychczas nie zwykło rozpatrywać spraw publicznych i ewolucyi moralnej społeczeństwa przez pryzmat ciasnej doktryny.

I rzecz dziwna! W tej chwili właśnie, gdy ze wszystkich stron kraju słychać skargi i żale na rosnący utylitaryzm społeczeństwa, na oschłość młodzieży, na karyerowiczowstwo i tym podobne zimnice społeczne, odzywa się z drugiej strony autor „Faraona" i prawi bez końca o oborach, bydle, żołądku, grosiwie, jakby bogactwo w trzodzie, sprzętach i rublach było wyłącznym fundamentem bytu narodowego. Nie mielibyśmy nic przeciw takim prelekcyom o kwestyach żołądkowych i znaczeniu ich w walce o życie narodowe, gdyby cały ten wykład ekonomii Prusa nie zawierał, pomijając już dyletancką jednostronność poglądów, jakiegoś dość wyraźnego protestu przeciw rzekomym gorączkom, wprawiającym puls społeczeństwa w ruch nieprawidłowy. Fejletonista *Kuryera Codziennego* dzieli cały naród na dwa obozy, z których jeden najmocniej jest przekonany, że „życie narodowe tylko wówczas płynie szeroko, gdy choćby na scenie można słuchać wzruszających melodyj i takichże poematów," drugi „wyżej stawia ziemię, zwierzęta i rośliny, a nawet budowle i wszelkie sprzęty." Wywierają te słowa takie wrażenie, jakby były wykradzione z polemik dziennikarskich przed 25 laty z górą. Prus stanął na baszcie pozytywizmu i tak się rozmachał szabelką, że na ewolucyę moralną społeczeństwa w czasie ćwierćwiekowego istnienia pozostał ślepym zupełnie. Jemu wciąż się wydaje, jakoby był „młodym pozytywistą," powołanym przez Opatrzność do walki ze „starymi romantykami," a że tymczasem romantycy umarli i zaledwie szczątki lubowników esencyj liliowych, pieśni słowiczych i blasków księżycowych tułają się po świecie, że tymczasem społeczeństwo przestało już dawno uważać poezyę i fajerwerki uczuć za podstawę życia narodowego, że na „młot i kielnię" dziś nikt już nie miota pogardy z wyżyn tkliwego romantyzmu, tego Prus zdaje się nie widzieć i nie rozumieć. Stanął na miejscu jak wryty i zahypnotyzowany. Kręci się w kółku doktryny, a życie wartko się toczy dalej i dalej w niewstrzymanym prądzie.

Z łatwo zrozumiałych przyczyn nie możemy tu wdawać się w głębszą i szczegółową polemikę z autorem „Faraona," zaznaczamy tylko, że owo stronnictwo, które mniema, jakoby „życie narodowe *tylko* wówczas płynęło szeroko, gdy choćby na scenie można słuchać wzruszających melodyj i takichże poematów," istnieje chyba w urojeniu zastygłego w poglądach swoich pozytywisty. Jest jednak poważna rzesza ludzi, która rozumie dokładnie, że naród, wnoszący do wyżyn królującego nad wszystkiem ideału: krowy, konie i trzos pełen złota, musi tak skończyć jak Chiny, gdzie brak wielkich porywów, uczuć gorętszych i poezyi doprowadził państwo niebieskie do zupełnego zaskorupienia i zaniku uczuć obywatelskich. My rozumiemy dobrze, że naród, zasłuchany tylko w „melodye wzruszające," umrzeć musi z głodu, ale rozumiemy również, że naród, zamknięty w oborach i warsztatach, musi stać się zbiorowiskiem małych serc, wystygłych dusz i egoistów bezbarwnych.

Są w fejletonach Prusa ustępy, w których przebłyskuje coś w rodzaju wszechstronniejszego poglądu na rozwój życia narodowego, ale całość wywiera takie wrażenie, jakby autor spostrzegał w oddali olbrzymie wojsko fantastycznych gimnastyków uczucia i uważał za swój obowiązek jeden ekstrem leczyć chirurgicznie nożem drugiego ekstremu. Jest to walka z wiatrakami, nad którą społeczeństwo przejdzie do porządku dziennego, czcząc „młot i kielnię," ale czcząc równie silnie to wszystko, co stanowi idealny pokarm uczucia i wyobraźni."

W obronie świata zwierzęcego.

Mamy przed sobą dwie świeżo wydane broszury Władysława Umińskiego: „Zwierzęta ginące i zaginione" i „Co człowiek zawdzięcza zwierzętom." Obie stanowią treść wygłoszonych odczytów na rzecz wydawnictw „komitetu damskiego" przy warszawskiem Towarzystwie opieki nad zwierzętami. Książeczki te, ze wszechmiar pożyteczne i bardzo zajmujące, polecamy gorąco każdemu, kto tylko ma do czynienia przypadkowo lub stale z ludnością wiejską. Na rozpowszechnienie zasługuje również poprzednio wydana broszura tego autora p. t. „Owady pożyteczne i szkodliwe," zaopatrzona w rysunki starannie wykonane. Faktem jest, że ludność zachowuje się barbarzyńsko względem świata zwierzęcego. Trudno obliczyć, jak wielkie szkody wyrządza dziatwa, niszcząca jaja ptasie lub wybierająca pisklęta z gniazd. Dorośli również tępią bezmyślnie wszelkie stworzenia najpożyteczniejsze, a natomiast nieumiejąc rozpoznać szkodników, oszczędzają je. W okolicach podmiejskich szerzą także spustoszenia goście z miasta, myśliwi świąteczni, wybitnie obdarzeni cechami barbarzyństwa. Nie umieją oni odróżnić wrony od wilgi, wróbla od słowika i wpadłszy w zapał łowiecki, po całych dniach płoszą, kaleczą lub mordują ptactwo śpiewające, i tak już nieliczne. Rzecz dziwna, że na tych szkodników niema dotąd kary, pomimo, że powinna istnieć bardzo surowa. Obok wszakże ostrych środków prawnych należałoby szerzyć możliwie najwięcej czynników moralnych. Gdyby je można było zaszczepić śród ludności wiejskiej, troszczyłaby się ona sama, bez środków prawnych o ochronę zwierząt pożytecznych i potrafiłaby skrępować zapędy niszczycieli. Dlatego właśnie między innemi szczerze zalecamy powyższe broszury Umińskiego. „W Europie grubszy zwierz nie może się już utrzymać. Jeżelibyśmy nawet pragnęli ochraniać sztucznie łosie, niedźwiedzie lub bobry, jak np. żubry w umyślnie do tego zarezerwowanych puszczach, to mała liczba osobników i tak wymrze wkrótce, z braku krzyżowania. Za lat kilkaset wszystkie duże gatunki albo zostaną doszczętnie wytępione, albo też będą niezmiernie rzadkie. Kto wie nawet, czy kiedyś człowiek nie znajdzie się w otoczeniu kilkunastu zaledwie zwierząt domowych; inne, ocalałe od zagłady, będą wegetowały czas jakiś po ogrodach zoologicznych, później zaś nasi potomkowie będą mogli oglądać je tylko, jako wypchane okazy, w muzeach. Wątpimy, czy pokolenia, które nastąpią po nas, potrafią z hodowanych przez siebie zwierząt wytworzyć kiedykolwiek nowe gatunki; być może, iż wnukowie będą nas przeklinali za to, żeśmy lekkomyślnie strwonili wspaniałe dary natury, których moc ludzka stworzyć napowrót nie jest w stanie, i że wydarliśmy brutalną ręką wiele kart z nieodczytanej jeszcze księgi przyrody. Należy się także obawiać, że po śmierci wielkich gatunków zostanie nagle naruszona dotychczasowa równowaga w świe-

cie zwierzęcym, skutkiem czego rozmnożą się niesłychanie drobne, szkodliwe stworzenia, z któremi walka jest niezmiernie trudna." Taki smutny obraz przyszłości kreśli Umiński. I rzeczywiście, mając dość często do czynienia z naturą, już dziś spostrzegliśmy wiele faktów niepocieszających. Niektóre gatunki ptaków szybko znikają lub posuwają się coraz dalej, gdzie jeszcze się zachowały nietknięte przestrzenie lasu. Kto uważnie wsłuchuje się w odgłosy ptactwa śpiewającego, kto miał sposobność słyszeć je w różnych miejscowościach kraju, ten łatwo dostrzeże, że np. słowik, drozd lub wilga trochę inaczej śpiewają w okolicach podmiejskich, niż w lasach głębokich, gdzie ani świst parowozów, ani odgłos siekiery, ani strzał myśliwego ich nie płoszy. Obok rozwoju liczebnego szkodników-ludzi i ich bezkarności, znacznie się przyczynia do zagłady lub zmniejszenia ptactwa i zwierząt czworonożnych, rozrost kultury. Jeszcze przed laty kilkunastu na Polesiu, przed osuszeniem błot, mieszkały miliony kaczek, żórawi, różnego gatunku bekasów itd. Dziś, gdy błota zamieniono na łąki, gdy lasy przerzedzono i przecięto kolejami żelaznemi, ptactwo to w wielu miejscowościach prawie już poznikało. Gorzej się dzieje w Królestwie. Tu już wielu gatunków ze świata zwierzęcego, istniejących przed laty dwudziestu, najmłodsze pokolenie zupełnie nie zna. Dlatego więc zarówno społeczeństwo, jak i prawo powinno wszelkimi środkami przeciwdziałać zagładzie.

BADANIA NAUKOWE.

WIEDZA POPULARNA.

Ubogą, bardzo ubogą jest nasza literatura popularno-naukowa. Karmimy umysł przeważnie płodami twórczości obcej, które usłużni wydawcy sprzedają nam zaprawione sosem języka rodzinnego. Niestety, w większości wypadków sos ten bywa bardzo podejrzanego gatunku: z jednej strony tłomacz, nie znając dobrze obcego języka, paczy na każdym kroku myśl autora, z drugiej zaś — często się zdarza, że i polszczyzna jest mu obca, dzięki czemu przekład pstrzy się i mieni od dziwolągów językowych. Nie będziemy słów tych popierali przykładami: mnóstwo ich znajdzie każdy, kto choć trochę zna tę gałąź naszej produkcyi umysłowej. Bądź co bądź jednak, przekłady te tworzą rdzeń i podstawę całej naszej wiedzy popularnej, gdyż literatura oryginalna przedstawia się w tym dziale gorzej, niż skromnie: kilka nazwisk, jak Znatowicz, Kramsztyk, Heilpern, Boguski i in., kilka tytułów — oto cały nasz dorobek popularno-naukowy. Bez wątpienia przyczynia się do tego fakt, że książki naukowe w języku polskim mogą być używane tylko prywatnie, nie mają bowiem u nas wstępu do szkół. Następnie, nie lubimy kupować poważnych — wolimy „lekką" powieść; nakładcy więc, hołdując potrosze gustom publiczności i własnej kieszeni, nie są zbyt pochopni do wydawnictw tego rodzaju. Często więc się zdarza, że dzieła bezwarunkowo wartościowe spoczywają długo w szufladach autorów i gdy po wielu latach znajdzie się wydawca, okazują się przestarzałemi. Wiemy np. i teraz o kilku cennych rękopisach, za któremi nazwiska autorów przemawiają i które napróżno oczekują kaszty drukarskiej. A szkoda, bo mogłyby one zapewne stanowić cenny nabytek dla naszej literatury naukowej. Jakże inne stosunki pod tym względem panują w Cesarstwie! Ruch wydawniczy rosyjski w ostatnich latach wzrósł niesłychanie. Takie firmy nakładowe, jak Pawlenkow, Popowa, Pantelejew, Rikker i in. wyrzucają niemal codziennie na rynek stosy dzieł oryginalnych i tłomaczonych, przeważnie naukowych. Prawda, że przy dobieraniu książek do przekładu na pierwszym planie stoi bardziej rozgłos, niż wartość, mimo to, dzięki rozgłosowi, najnowszy „Zarys psychologii" Wundta wychodzi niemal jednocześnie w oryginale i po rosyjsku, to samo „Organizm społeczny" Wormsa, „Historya związków małżeńskich" Westermarka itd. Dodajmy do tego staranne wydanie, niezły przekład i niskie ceny.

Wobec tej obojętności wydawców dla dzieł naukowych i wrodzonego nam skąpstwa, gdy chodzi o książkę, należy się prawdziwa wdzięczność gronu ludzi dobrej woli, którzy, wyłączywszy z przedsiębiorstwa wszelkie cele spekulacyjne i handlowe, podjęli się wydawnictwa dziełek naukowych pożytecznych i możliwie tanich. Oto leżą właśnie przed nami pierwsze cztery tomiki: „Ostatni z nieważników" Stanisława Kramsztyka, „Najnowsze badania nad przestrzenią" dr. K. Hertza, „Kartele i syndykaty" dr. Br. Schoenlanka i wreszcie „Kurs systematyczny antropologi" (I. Rasy fizyczne) Ludwika Krzywickiego.

Aby książka popularno-naukowa odpowiadała swemu celowi, była dobrą i pożyteczną, powinna czynić zadość dwom warunkom: być możliwie przystępną i możliwie ścisłą. Przystępność polegać musi na tem przedewszystkiem, aby autor używane wyrażenia naukowe zaopatrzył w najbardziej zrozumiałe określenia, aby język wykładu był możliwie wolny od cudzoziemszczyzny, a jednocześnie i nowotworów; wreszcie pożądanem jest, aby fakty naukowe były uprzystępnione przez porównanie ze zjawiskami życia codziennego. Co do drugiego warunku—ścisłości, to uważam go w książce popularnej za niezbędniejszy, niż nawet w dziele czysto naukowem. Łatwo to zrozumieć. Uczony, gdy znajduje niedokładności, nieścisłości, łatwo je sobie sam objaśni, czego nie jest w stanie uczynić średnio ukształcony człowiek, czerpiący wiadomości z książki popularnej. W ten sposób często się zdarza, że czytelnik za jedyny w swoim rodzaju fakt przyjmuje to, co jest tylko przykładem, lub za pewnik to, co jest tylko hypotezą itd. Zobaczmy teraz, o ile tym warunkom odpowiadają wyżej wymienione pierwsze tomiki nowego wydawnictwa.

P. Stanisław Kramsztyk jest stanowczo jednym z najlepszych popularyzatorów wiedzy przyrodniczej. Jasny i zrozumiały wykład, połączony z sumienną ścisłością naukową, oraz żywy, czysty, często nawet poetyczny język składają się na to, że prace jego cieszą się u nas wielką poczytnością i sympatyą. „Ostatni z nieważników" odznacza się wszystkiemi pomienionemi cechami. Rozprawka ta składa się z trzech części. W pierwszej—mamy dzieje eteru w nauce od czasów najdawniejszych, mamy historyę klasycznego sporu pomiędzy Newtonem a Huyghensem oraz czcicielami owych potentatów myśli o istotę światła, w drugiej — wykłada nam autor „mechanikę" eteru, czyli opisuje własności mechaniczne tego idealnego, hypotetycznego środka, jaki powinien on posiadać, aby w rzeczywistości mógł być nazwany „roznosicielem" światła, ciepła i elektryczności; wreszcie trzecia część jest poświęcona znaczeniu eteru w fizyce dzisiejszej. W tej ostatniej uwzględnił autor badania z czasów najnowszych, źródła najświeższe, jak np. wydaną przed rokiem drugą broszurę Roentgena, z której niżej podpisany już zdawał w tem miejscu sprawę czytelnikom *Prawdy*, prace Fomma itd. Nie będziemy tu streszczali książki p. Kramsztyka — wolimy odesłać do niej czytelników. Z obowiązku sprawozdawcy zaznaczymy tylko jedną drobną niedokładność. Nie czynimy bynajmniej z powodu tego drobiazgu zarzutu autorowi, chodzi nam tylko o potwierdzenie słów, jakieśmy o potrzebie ścisłości w książce popularnej wypowiedzieli. Na str. 13 p. K. pisze: „...oświetlamy... żółtem światłem sodowem, *jakie otrzymujemy, jeżeli do płomienia alkoholowego wprowadzimy szczyptę soli kuchennej.*" Nieścisłość przytoczonego zdania jest drobną, być może polega ona tylko na tem, że autor opuścił słowo „naprzykład," zwykłemu wszakże czytelnikowi wydać się może, że koniecznym warunkiem otrzymywania żółtego światła jest płomień alkoholowy, a nie sod, zawarty w soli kuchennej. Drobna ta niedokładność oczywiście w niczem nie zmniejsza cennych zalet broszury o eterze, która powinna się znaleźć w rękach każdego, kogo postęp nauk przyrodniczych obchodzi.

Niestety, nie da się to samo powiedzieć o „Najnowszych badaniach nad przestrzenią" dr. K. Hertza. Przedewszystkiem mamy pretensyę do autora o... tytuł. Nie przeczę; być może badania te były „najnowszemi," gdy je autor w lutym 1884 r. w dodatku miesięcznym do *Przeglądu Tygodniowego* ogłaszał; od tego jednak czasu upłynęło lat trzynaście, geometrya trochę postąpiła naprzód, pojawiły się nowe prace w tej dziedzinie, naprzykład, jeśli się nie mylę, Kleina i in., czego autor nie uwzględnił. Rozprawka jest dosłownym przedrukiem ze wspomnianego wyżej pisma; jedyna różnica pomiędzy redakcyą dawną a obecną polega na tem, że w „Źródłach" p. H. opuścił obecnie cytowaną w r. 1884 pracę Waszczenko-Zacharczenki p. t. „Naczała Ewklida." Kijów, 1880. I nie miałbym tego autorowi za złe, gdyby nie ten fatalny tytuł: „*Najnowsze* badania itd." W czterech rozdziałach swej rozprawki (piąty jest poświęcony „Źródłom") tłomaczy p. H. podstawy geometryi Euklidesowej oraz zasady nowej, nieeuklidesowej, której ojcem był Łobaczewski w Rosyi, a jednocześnie Bolyai (ojciec i syn) na Węgrzech, a „wychowawcami" Riemann, Helmholtz i inni. Temat, obrany przez p. H., jest trudny, bardzo trudny do spopularyzowania, jak trudną, prawie niemożliwą do uprzystępnienia jest cała niemal matematyka wyższa. Pisarz, który się podejmuje popularyzacyi zagadnień tej gałęzi wiedzy, powinien posiadać niepospolity dar, talent pedagogiczny. Tego jednak autorowi „Najnowszych badań" trochę brak i dlatego też książka jego na tem ucierpiała. Pierwsze rozdziały, poświęcone rozbiorowi pewników Euklidesa, oraz po części badaniom Legendre'a i Łobaczewskiego, są napisane przystępnie i zrozumiale; w miarę jednak, jak się autor zagłębia w labirynt „rozmaitości wielowymiarowych," „krzywizn," „przestrzeni sferycznych i pseudosferycznych" itd., staje się coraz mniej zrozumiałym. Nie umie „wchodzić w skórę" przeciętnego czytelnika, dla którego wszelkie spekulacye matematyki wyższej są nieuchwytne. Bo i jak ten czytelnik ma go zrozumieć, gdy autor, powiedziawszy na str. 24, że Gauss wprowadził „t. zw. miarę krzywizny," później opiera stale swe rozumowania na tej „mierze krzywizny," nie objaśniwszy zupełnie, co przez ten termin pojmować należy.

W „Kartelach i syndykatach" dr. Bruno Schoenlank daje nam zarys rozwoju tych stowarzyszeń wytwórców oraz rysuje położenie, w jakiem się one znajdują obecnie. Jest on przeciwnikiem teoryi, według której kartele zawdzięczają swe powstanie cłom ochronnym, systemowi protekcyjnemu. Nie bez racyi dowodzi, że wielkie „krachy," jak np. w r. 1873, podczas których ostały się tylko przedsiębior-

stwa wielkie, musiały naprowadzić na myśl, że tylko zrzeszenie może uchronić od podobnych wypadków na przyszłość. Takie zrzeszenie było tem łatwiej przeprowadzić, że od spółek akcyjnych do kartelów trzeba było tylko jeden krok uczynić. Powstały więc „kartele niższego rzędu," których uczestnicy zawierali umowy jedynie co do rozmiarów produkcyi i wysokości ceny, z tych wreszcie się wyłoniły kartele „wyższego" i „najwyższego" rzędu, które ograniczają nietylko produkcyę i ceny, lecz dzielą rynki zbytu, urządzają wspólne składy sprzedaży, dbają o ogół udoskonaleń technicznych i ekonomicznych, aż wreszcie zlewają wszelkie „pojedyncze zakłady w jednym olbrzymim truście." Kilka tablic statystycznych, malujących rozwój spółek, dopełnia obrazu. Prawda, obraz to nie zupełnie jasny, niektórych stron tej bądź co bądź nader ważnej kwestyi ekonomicznej autor dostatecznie nie uwzględnił lub nie mógł uwzględnić: z broszury Schoenlanka nie zupełnie dokładnie widać skutki, często bardzo smutne, jakie ciągną za sobą kartele dla klas pracujących. Ale i to, co nam dał, potrafił przedstawić żywo i interesująco. Przekład polski odznacza się taką czystością i poprawnością języka, że książeczka czyni wrażenie oryginalnej.

Jeśli, idąc za przykładem autora, przyjmiemy określenie Quatrefage'a, według którego „antropologia bada człowieka w sposób monograficzny... obejmuje opis zewnętrzny człowieka, studya porównawcze nad organami i ich działalnością, zbadanie odmian, jakie spostrzegamy w typie zasadniczym, wreszcie analizę instynktów ludzkich i zwyczajów," to przyznać będziemy musieli, że „Kurs systematyczny antropologii" Ludwika Krzywickiego jest pierwszym i jedynym podręcznikiem popularnym antropologii, jaki w języku polskim posiadamy. Znane dzieło Tylora („Antropologia," wyd. *Prawdy*) wyżej przytoczonemu określeniu Quatrefage'a bynajmniej nie odpowiada. Dla niego antropologia jest nauką o pochodzie ewolucyjnym ludzkości, badającą fazy fizycznego oraz duchowego rozwoju człowieka na tle ras poszczególnych; książka p. Krzywickiego i treścią i układem różni się zupełnie od pracy Tylora. „Kurs systematyczny" objąć ma rasy fizyczne, rasy psychiczne, typy emocyonalne, rasy lingwistyczne i wreszcie rasy etniczne. Przed nami leży pierwsza część dzieła: „Rasy fizyczne." Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają nam wdawać się w rozbiór szczegółowy książki, zaznaczyć tylko musimy jedną, szczególnie dla nas Polaków, ciekawą jej stronę. Znając antropologię jedynie prawie z dzieł obcych, posiadamy często wiadomości dokładne o rasowych cechach ludów obcych; i często, bez przesady, lepiej znamy zwyczaje i obyczaje Anglików, Francuzów, Włochów, ba, nawet Melanezyjczyków lub Botokudów, niż naszego własnego ludu. P. Krzywickiemu należy się więc wdzięczność za to, że nam w książce swojej odsłonił i usystematyzował skromne wiadomości z naszej „antropologii rodzimej," zaczerpnięte z prac mało szerszemu ogółowi znanych Kopernickiego, Talko-Hryncewicza, własnych autora i in. Życzyć więc tylko wypada, aby dalsze części „Kursu" nie długo dały na siebie czekać i aby nie spotkał go los niektórych innych dzieł naukowych, urywających się nagle na pierwszym tomie (ob. „Zasady fizyki" Witkowskiego oraz „Pojęcia i metody matematyki" Dicksteina).

Jak więc widzą czytelnicy, pierwsze kroki nowego wydawnictwa można śmiało nazwać bardzo udatnymi. Program dalszy zapowiada się również bardzo interesująco. Ze szczególną niecierpliwością oczekujemy „Poradnika dla samouków," którego brak oddawna dotkliwie uczuwać się dawał. Pomysł wydania takiego „poradnika" dowodzi, że kierownicy wydawnictwa znają dobrze potrzeby społeczeństwa naszego. Więc na drodze ich skromnej i pożytecznej pracy życzymy im szczerze powodzenia.

Michał Mutermilch.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY

Antoni Małecki: *Grochowy wieniec*, komedya w 4 aktach. — Michał Wołowski: *Towarzysz pancerny*, komedya w 3 aktach.

Bohaterem obu sztuk jest dzielny nasz pan Jan Chryzostom Pasek; obie opierają się też na jego niezrównanych pamiętnikach. *Wieniec* w literaturze żyje lat ze czterdzieści, na scenie zjawiał się tylko dorywczo. *Towarzysza* napisał autor dopiero dwa lata temu umyślnie dla sceny. Przypadek wytworzył jednoczesność i zmusił do zestawień i porównań.

Nadszedł rok 1667. Ucichły już surmy wojenne, a w 40-letnim panu Pasku zadrgała silniej struna małżeństwa. Nagabywali go krewni, nagabywali i obcy a możni, żeby się żenił. W Sochaczewskiem miał do wzięcia majętną pannę Śladkowską, w Rawskiem tylko sięgnąć potrzebował po bogatą pannę Radoszowską. Nie zbrakłoby pewno i innych na rodzinnem Mazowszu; ale pana Paska los widocznie przeznaczył dla Krakowianki. Na Mazowszu była wprawdzie, ze panną Śladkowską, Boża Wola—„ale woli bożej nie było." U rodziców w Węgrzynowicach spotkał się pogromca Szwedów i nie-Szwedów z panem Jędrzejem Remiszowskim, który miał za sobą stryjeczną pana Jana, a mieszkał daleko, aż pod Wodzisławiem. Ten jął mu raić rodzoną swą siostrę, Annę Łącką, dzierżawczynię Olszówki. Wdowieństwa jej zataić nie mógł, ale zataił lata. Pani Łącka miała już lat 46, miała przytem pięć córek własnych i szóstego, pasierba, Krzysztofa Łąckiego, a „uczyniono jej tak, żeby już nie miała więcej potomstwa": pan Pasek, rycerz prawy, człowiek zdrów, mógł był lepiej mężkość swoją ulokować. Remiszowski jednak miał szczęśliwą rękę. Wdowa wyglądała na lat 30, córki jej nie wszystkie naraz pokazały się przyszłemu ojczymowi, liczko było gładkie, i zalotności pewno nie brakło: od środy do niedzieli poznał się, oświadczył i ożenił — z istnie kawalerską fantazyą. Gdy w tydzień po weselu przyjechał do Olszówki dawny konkurent pani Łąckiej, Komorowski, podstarości nowokorczyński, było już po harapie. Pasek został „parobkiem," poganiaczem pani Łąckiej.

Inaczej zupełnie ta historya przedstawia się u obu komedyopisarzów. U Małeckiego pani Łącka, jako Rucka, jest wdową bez dzieci, podającą się za pannę, która chwilowo tylko bawi w Olszówce, jakoby Remiszowskich; u p. Wołowskiego p. Pasek oświadcza się kolejno o trzy jej córki, aż wreszcie na niej samej kończy. Ze wzmianki pamiętnikarza o Komorowskim p. Małecki wysnuł całą hymenaiomachię, dwa stronnictwa, mazurskie i krakowskie, walczące o rękę młodej i pięknej jeszcze wdowy; wysnuł grochowy wieniec, zawieszony przez Komorowszczaków na drzwiach p. Paska, oświadczyny jednej i drugiej strony, repliki — i wreszcie dyalektyczne zaciągnięcie się „ślepego Mazura" pod nową zupełnie chorągiew. P. Wołowski rozszerza widnokrąg, pogłębia pobudki i wypadki, nie poprzestaje na małym światku zalotów, miłości i ślubów: dochodzą nas tu echa ze świata większych i ważniejszych przygód i podniet, dusze brzmią tu i poważniej i dźwięczniej; mniej burdy, więcej podnoszących wzruszeń. Życia obyczajowego w Małeckim jest więcej i pamiętników Paska więcej; u p. Wołowskiego byłoby i Paska samego więcej, gdyby nie pomysł niefortunny przepędzenia towarzysza pancernego przez wszystkie cztery kobiety, jakie w olszowskim dworze ujrzał: rycerz zmienia się w facecyonistę. Komedyi, jakąby wykroić można z pamiętników, obrazu historycznego, jaki umiał, w dwóch swoich aktach *Złotej czaszki*, z tej samej epoki wytworzyć Słowacki, nie dał ani jeden, ani drugi autor. W obu też sztukach daremnie szukamy pana Paska — jego syntezy charakteru. Ktoś trzeci tę syntezę dopiero wytworzy.

Język obu sztuk, nie będąc archaicznym, odbija dobrze epokę, zwłaszcza w indywidualizowanym przez pamiętniki zakresie. P. Wołowskiemu przyznać by nawet można wyższość w wyrażeniach jędrnych, dosadnych, a malujących ludzi i czasy. Tylko tej „cholery" w *Towarzyszu pancernym* jest stanowczo za wiele. Małecki, wskutek dobrowolnego skurczenia się, ograniczenia na przygodach życia rodzinnego, nie ma ani jednej takiej sceny, jak zakończenie aktu pierwszego w sztuce p. Wołowskiego, albo pojedynek między przyjaciołmi - towarzyszami, przerwany wspomnieniem przygody bojowej w Danii, po której musieli obaj skłóceni rzucić się sobie napowrót w objęcia. Jedyna zajmująca postać niewieścia w *Towarzyszu pancernym*, Barbara Łącka, ma w sztuce Małeckiego odpowiednik swój w Elżbietce, córce pani Tulskiej. Są to dwa wdzięczne kwiatki -- Basia rezolutniejsza, prawdziwie chwytająca rezolutnością swą za serce; Elżbietka, owiana urokiem szczebiotliwej czystości, rzetelnie poetyczna: naiwna—a nie głupia, ciekawa poznać Amora—a nie narzucająca mu się z niepokojem świeżo rozbudzonych instynktów. Obie udały się autorom.

Nie piszę rozbioru, lecz dając tylko ujście wrażeniom, niepodobna wnikać we wszystkie szczegóły. Przykładowo jeszcze powiem, że p. Wołowski zgodnie z pamiętnikami kazał Paskowi jedną z pasierbic oddać swemu towarzyszowi pancernemu i krewniakowi Dębowskiemu; Małecki korzysta z puzderka z drewnianymi chodakami, pysznego szczegółu do komedyi, należycie jednak nie wyzyskanego, jak chybionym również jest i pomysł grochowego wieńca. Niegdyś poeta, dziś poważny badacz historyczny, bierze w siebie dawne miłości i miłostki pana Paska i dobrze nimi dyalog zabarwia; u p. Wołowskiego nie urozmaicają one wcale psychologii miłosnej, nie ożywiają rozmów, przypadających na dział komedyi w sztuce. Małecki wprowadza Dzięgiela i robi z niego zajmującą drugorzędną postać sztuki. P. Wołowski nie zna wcale Ołtarzewskiego, który w *Grochowym wieńcu* jest bodaj czy nie głównym, dramatycznie ważniejszym od samego Paska podmiotem akcyi.

Wystawienie *Grochowego wieńca* w teatrze Letnim było tak staranne, że sztuka ta chyba pierwszy raz dopiero w takiem wcieleniu scenicznem ukazała się widzom. Kulig, krakowiak, polonez, stroje, dekoracya — wszystko nosiło na sobie znamiona znawstwa i troskliwości o odtworzenie epoki. Dużo też ta zewnętrzność przyczynia się do powodzenia sztuki, która wewnątrz jest dość czcza i w czytaniu niczem nie zdradza się z tej pełności, jaką mieć może w dobrem przedstawieniu. P. Wojciech Gerson dał wzory do kostiumów, reżyserya zadbała o należytą wystawę, artyści nie lenili się, by role

swe odegrać jak należy. Tylko cała zabiegliwa gorliwość nie zdołała z p. Ładnowskiego zrobić dobrego Paska P. Frenkiel, gdyby miał więcej rzewnego podziwu w rozmowie kapitalnej z podlotkiem, zupełnieby widza zadowolił. P. Lüde, jako p. Rucka (Łącka) musiała się wszystkim podobać. P. Barszczewska, po pięknej swej roli Łubiny w dramacie ludowym Sewera dała znowu spokojną, dobrze umierzoną Panią Jędrzejową Remiszowską.

Towarzysz pancerny obrał dla siebie scenę Wodewilu.

Stanisław Krzemiński.

OD KOMITETU BUDOWY

pomnika Mickiewicza w Warszawie.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza zawiadamia, że w dniu dzisiejszym składki na pomnik doszły do wysokości dwóch kroć stu tysięcy rubli, to jest cyfry przez inicyatorów projektu za dostateczną uznanej, a przez władzę dozwolonej, i że przeto Komitet listę składek na ten cel zamyka.

Wyrażając w odezwie wzywającej do składek nadzieję, że „ofiarność ogółu będzie nietylko hojną, lecz i powszechną,“ wiedzieliśmy z góry, że suma powyższa z łatwością się zbierze. Rzeczywistość jednak przeszła oczekiwania wszystkich, którzy w składaniu tej czci geniuszowi narodowemu szukali odpowiedzi na pytanie, czy ogół nasz umie cześć swych wielkich. Od daty naszego wezwania do składek ogół polski złożył całkowitą sumę w ciągu dwóch niespełna miesięcy.

Te wymowne listy składek, w których rzesze „maluczkich“ skupiły się ze swemi ofiarami obok ludzi możnych, stworzyły najwspanialszy, przez swą moralną podniosłość, pomnik dla Mickiewicza.

Pierwsza więc część zadania spełniona. Mamy też wiarę, że widomy znak tego powszechnego hołdu, pomnik z granitu i bronzu, nie zawiedzie oczekiwań społeczeństwa. Komitet, bacznie licząc się z warunkami, w których działa, oraz ze środkami, ktorymi rozporządza, niczego nie pominie, aby godnie odpowiedzieć przyjętym na siebie obowiązkom.

O postępach swej działalności, mianowicie o faktach dokonanych i rezultatach osiągniętych, Komitet nieomieszka zdawać sprawę publiczności.

Warszawa, d. 14 lipca 1897 r.

Za Przewodniczącego
A. Kłobukowski.

Członek-Sekretarz Komitetu
Z. Wasilewski.

Na pomnik Mickiewicza:

	rs.	k.
S. Wiewiórowski z Windawy . .	5	—
D. Sipowicz z Moskwy	5	—
Zofia i Stanisław Ołtuszewscy z Timkowicz	5	—
Ignacy Glinka, adwokat z Kamieńca Pod.	5	—
L. Masłowski z Baku.	10	—
Julia Kamińska z Wilna . . .	1	—
Jan Kaliszek, inżenier, z Ostrowa	5	—
Anika z Sorok (Bessarabia) . .	3	—
Lewandowski, inżenier, z Petersburga	5	—
Bolesław Bujalski z Wieligawego	15	—
Ignacy Witkiewicz z Mińska . .	5	—
Zofia Taraszkiewiczówna z Ora[illegible]ki	[illegible]	—
Hieronim K..	[illegible]	—
L. Wykowski z Anielina, gub. Mohilewskiej	1	—
L. N. Kazaczyńska	1	—
Roch i Marya Kowalscy . . .	3	—
K. Kłobukowski	1	—
Z Białokurówki:		
Alicya Bannister	5	—
Jan Nowodworski	1	—
Stanisława Bentkowska . . .	1	—
Z Łonzy:		
E. Onoszko	1	—
Zen. Onoszko	—	50
Eug. Gruszecka	1	—
Gr. Gruszecki	5	—
Lud. Onoszko	—	50
Waleryan Gruszecki	1	—
X. St. Korecki	—	50
Noiszewski Stanisław	3	—
Marcin Gruszecki	5	—
Sienkiewicz Michał	3	—
Polanowicz Jan	1	—
B. P. (student)	—	10
Zanowska Marya	—	20
Bobaszyński Jan	3	—
Andronik	1	—
Fr. Wasilewski	1	—
Cz. Onoszko (uczeń)	—	20
Z Kijowa:		
Władysław Stokowski	5	—
Paweł Etingier	5	—
Z Odesy:		
Aleksander Garliński	5	—
Jan, Melania i Kazio Wasilkowscy	15	—
A. Hryniewski	2	25
Adam Andrzejewski	1	—
Julia Fryd	—	50
Zdzisław W. W.	1	—
Wilhelm Chruściński	1	—
Gustaw Mirondze	1	—
Osipowski	1	—
Stanisław Kowalski	—	50
W. W.	—	25
Julia Paniecka	—	50
Bolesław Dunin-Marcinkiewicz .	1	—

Z Krakowa:	złr.	ct.
Zygmunt Witkowski .	2	—
Feliks Gastman . . .	1	50
Helena Chojnowska. .	1	—
Wanda Chojnowska. .	1	—
Wacław Tokarz . . .	1	—
P. Sobolewska .	1	—
Stanisław Zakrzewski .	1	—
Sydonia Bittmar. . .	1	—
Leon Konrad Gliński .	1	—
Marya Arctówna .	1	—
Michał R.	1	—
Marya Cumftówna .	1	—
Kazimierz Budzyński .	1	—
Józefa Zboromirska .	1	—
Karol Dłużewski. . .	1	—
Konstanty Zakrzewski .	1	—
Klementyna Bittmar .	—	50
Kazimierz J.	—	50
Julian Jaszowski . .	—	50
Tadeusz Grużewski . .	—	50
Bezimienny	—	48
Stanisław Majewski .	—	2
	20	—

$= 15$ 70

Razem rs. 162 k. 70
Z poprzedniemi „ 596 „ 50

Ogółem rs. 759 k. 20
złożono w Kasie Komitetu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Zatwierdzono ustawę kasy pogrzebowej w Starej Rokicie (gub. Piotrkowska).

— W Mikołajowie na targu miejscowym policya odebrała od żebraków sześcioletniego chłopca, porwanego od matki w Śmile, w gub. Kijowskiej. Kobieta, która go ukradła, chcąc uczynić kaleką, wykręcała mu nogi. Zwróciło to uwagę otaczających i wywołało oburzenie śród ludu. Wdanie się policyi zapobiegło doraźnemu wymiarowi kary.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa Krzyża Błękitnego. Zadaniem jego jest za pomocą ubezpieczenia życia zapewnić byt członkom straży ogniowych, którzy ucierpieli przy spełnianiu swych obowiązków.

Szkoły. Egzaminy wstępne do szkoły technicznej p. Święcimskiego w Warszawie trwać będą od 22 b. m. do 22 września.

— W drugiem gimnazyum żeńskiem warszawskiem odbywać się będą egzaminy wstępne do klas: przygotowawczej, I i VI od 28 sierpnia. Prośby wnosić można od 13 lipca do 13 sierpnia we wtorki i piątki, od godz. 10 do 2 po południu.

— W r. b. do gimnazyum męzkiego w Płocku będą przyjmowani nowi uczniowie tylko do klas: wstępnej, I, VI, VII i VIII, gdyż w innych niema wcale miejsca. Podania o przyjęcie można składać do 13 sierpnia; egzaminy zaczną się 19-go, lekcye zaś 29 tegoż miesiąca.

— Ministeryum rolnictwa postanowiło pozwolić praktykantom na bezpłatną naukę w niższych szkołach rolniczych.

— Od d. 13 sierpnia dyrekcya warszawskiej szkoły realnej zacznie przyjmować podania o przyjęcie kandydatów do klas: wstępnej, V i VI.

— We Lwowie powstaną r. b. dwa gimnazya żeńskie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych, ze względu na stan finansów m. Kijowa, odmówiło pozwolenia na zaciągnięcie przez radę miejską pożyczki rs. 300,000 dla budowy politechniki.

— W gimnazyum kieleckiem egzaminy wstępne do klasy przygotowawczej i 1-ej rozpoczną się 28 sierpnia, lekcye — 4-go września. W innych klasach wszystkie miejsca zajęte.

— Zapisy do wskrzeszonej przy ogrodzie Pomologicznym w Warszawie szkoły ogrodniczej rozpoczną się 13 września i trwać będą do 12 października. Kandydaci do klasy 1-ej złożyć muszą świadectwo z ukończenia dwóch klas rządowych miejskich lub wiejskich. Nieodpowiadający temu warunkowi poddać się będą musieli egzaminowi, równoznacznemu kursowi tychże szkół. Egzamin ten obejmować będzie język rosyjski, arytmetykę, geografię, historyę i historyę naturalną. Kandydaci muszą złożyć metrykę, stwierdzającą najmniej lat 14 wieku.

Skutki monopolu. Ministeryum skarbu ogłosiło zdanie o skutkach zaprowadzenia monopolu wódczanego, nadesłane przez gubernatorów, marszałków szlachty, zwierzchność duchowną, prezesów ziemstw itd. Wszyscy stwierdzają zgodnie, że spożycie trunków upajających zmalało, że gromadne pijatyki ustały, zmniejszyła się liczba bójek, kłótni i przestępstw, popełnianych w stanie nietrzeźwym. W niektórych miastach gub. Wołyńskiej od czasu zaprowadzenia monopolu nie aresztowano żadnego pijaka za nieprzyzwoite zachowanie się na ulicy, kiedy dawniej podobnych wypadków bywało po kilkadziesiąt, a nawet po kilkaset rocznie. Sprawozdania zaznaczają szczególnie wpływ dodatni zakazu raczenia się gorzałką na miejscu i wzbronienie dawania trunków na kredyt. Niema już teraz mowy o zastawianiu w karczmie zboża lub odzieży, a sprzedaż kradzionych rzeczy wielce się utrudniła, odkąd znikł typ pasera-szynkarza. Obawy, iż dochody skarbu zmniejszą się, są płonne; z początku, co prawda, wpływy były mniejsze, lecz już w drugim roku istnienia monopolu dorównały dawnym, a nawet je przewyższyły. Oddając pochwały, niektóre sprawozdania uwydatniają również braki reformy. Gubernator jekaterynosławski domaga się obostrzenia dozoru akcyzowego i surowego wymiaru kar na handlujących potajemnie wódką, a gubernatorowie orenburski i permski wskazują, że gminy wiejskie zalegają w opłacie podatków, odkąd straciły dochód z wydzierżawiania prawa propinacyi. Prezes ziemstwa gubernialnego w Permie proponuje, ażeby część zysków ze skarbowej sprzedaży trunków obracać na zakładanie dla ludu szkół, bibliotek, czytelni itp. Oświetlenie powyższe jest wszakże dość jednostronne, bo w wielu miejscowościach na podstawie innych źródeł stwierdzono stan trzeźwości niezupełnie pomyślny, pomimo monopolu.

Gospodarka miejska. Kijów otrzymał pozwolenie na zaciągnięcie pożyczki obligacyjnej w kwocie rs. 300,000 w celu budowy przystani na Dnieprze.

Wystawy i zjazdy. Na mocy postanowienia ministeryalnego, dozwalającego na wyjazd siedmiodniowy bez opłaty paszportowej (za zwrotem 50 kop. kosztu blankietu) na wystawę w Stokholmie, kancelarya oberpolicmajstra w Warszawie i biura rządów gubernialnych wydają odpowiednie pozwolenia. Pragnący je otrzymać winni podać prośbę z dołączeniem wymaganych dowodów. Pozwolenia służą wyłącznie na wyjazd do Szwecyi granicami państwa rosyjskiego. Tego rodzaju paszporty ulgowe służą na dni jedenaście.

— Towarzystwo racyonalnego myśliwstwa na pamiątkę 25-ej rocznicy swego istnienia, urządzi w styczniu wystawę tudzież wezwie myśliwych na zjazd.

Koleje i komunikacye. *Now. Wr.* otrzymało z nad Amuru wiadomość o przeszkodzie w wytknięciu kolei. Technik Tichanow udał się z robotnikami do Mandżuryi, do źródeł rzeki Sajfunu, ażeby zbadać teren przyszłej drogi. Tam napadła na niego banda chunchuzów, czyli rozbójników chińskich, uzbrojonych w doskonałe karabiny angielskie. W utarczce jeden z robotników otrzymał ranę, Chińczycy zaś stracili trzech ludzi. Studya na czas jakiś przerwano, dopóki nie nadciągnął oddział kozaków, pod których osłoną są prowadzone dalej. Rozbójnicy zaś cofnęli się do wąwozów poblizkich, grożąc co chwila napadami. Ma być ich przeszło 300.

— O koncesyę na budowę nowej kolei w gub. Lubelskiej stara się Maurycy hr. ordynat Zamoyski. Projektowana linia zacznie się od stacyi Trawniki kolei Nadwiślańskiej, przejdzie przez Turobin, Szczebrzeszyn, Zamość i Tomaszów do granicy austryackiej, gdzie spotka się z koleją państwową galicyjską, idącą od Lwowa przez Rawę i Rudkę do Bełzca. Długość linii wyniesie 100 wiorst. Rozpatrzenie projektu ministeryum komunikacyj powierzyło komisyi pod przewodnictwem p. Maksimowa.

Teatr. Odeon wystawił „Biedę,“ baśń ludową w 4 aktach ze śpiewami i tańcami, napisaną przez pp. B. Bolesławskiego i K. Laskowskiego, z muzyką p. Karola Namysłowskiego.

— Eldorado wystawiło „Małkę Szwarcenkopf,“ sztukę w 5 aktach (ze śpiewami i tańcami), osnutą na tle stosunków żydowskich przez Gabryelę Zapolską.

Przemysł i handel. *Praw. Wiest.* ogłasza rozporządzenie, oznaczające dla monopolu skarbowego w r. b. w guberniach: Wileńskiej, Witebskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Mohylewskiej i Smoleńskiej takie ceny trunków: 1) dla wódki czystej 40-stopniowej *minimum* rs. 6,40, *maximum* rs. 8 za wiadro; 2) dla spirytusu rektyfikowanego *minimum* 16 kop., *maximum* 20 kop. za stopień i 3) dla wódki wyższej rektyfikacyi i wyrobów wódczanych *minimum* rs. 8, *maximum* rs. 12 za wiadro.

— *Now. Wr.* donosi, że na potrzeby monopolu wódczanego w Królestwie Polskiem będzie otwartych 24 składów hurtowych (mianowicie 18 pierwszego rzędu i 6 drugiego), oraz 1,453 sklepy.

— W Austryi i Węgrzech ceny zboża wciąż wzrastają z powodu częściowego zniszczenia zbiorów.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Józ. Siedziewskiemu. Rs. 25 przesłaliśmy do Towarzystwa kolonij letnich.

Panu Wyszomirskiemu. Rs. 4 przesłaliśmy do Towarzystwa kolonij letnich.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 Іюля 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.